



*Gdy stajesz się czyjąś obsesją,  
nie ma drogi ucieczki.*

Aleksandra Troszczyńska

*Nasze  
nigdy*

NOVAE RES

Aleksandra Troszczyńska

# Nasze nigdy



## SPIS TREŚCI

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Epilog

Chciałem chronić cię przed światem, nie zauważając, że to ja jestem największym zagrożeniem.

\*

Zagubiona we własnej naiwności, nie dostrzegała w ludziach ukrytego zła. Jej obsesyjne dążenie do perfekcyjności niszczyło już nie tylko jej zdrowie.

Była zbyt młoda, zbyt niedoświadczona, zbyt słaba, zbyt niewinna.

Zagubiony we własnych myślach, nie interesował się innymi ludźmi. Zamknięty we własnym królestwie, obsesyjnie dbający o swój ogród i starannie fotografujący wszystko to, co go fascynowało. Był zbyt dziwny, zbyt zamknięty w sobie, zbyt samodzielny, zbyt stęskniony.

Każdy ma swoje obsesje.

## Rozdział 1

Była młoda i naiwna. Sądziła, że tylko wygląd ma znaczenie. Odmawiając sobie jedzenia, przyjmowała coraz więcej tabletek dających ulgę – z każdym miesiącem coraz mocniejszych.

Zagubiona, nieśmiała i niepewna siebie dziewczyna, dla której każdy dzień w szkole był prawdziwą katorgą. Nie miała przyjaciół, więc nie miała z kim porozmawiać. Brakowało jej nawet odwagi, by wykonać pierwszy krok i poznać kogoś nowego. Za każdym razem, gdy przenosiła się do kolejnego miasta, nadarzała się okazja. Szansa, której nigdy nie potrafiła wykorzystać.

Siedemnastoletnia blondynka o dużych niebieskich oczach przyciskała do piersi ulubioną książkę i wpatrywała się w nieznany budynek. Jej nowy dom. Kolejna przeprowadzka spowodowana przeniesieniem ojca. Nienawidziła jego pracy. Czasem chciała również przyznać przed sobą, że nienawidzi i rodziców. Ale nie mogła, nie potrafiła. I nie miała prawa. Przecież nawet ich nie znała. Interesowali się nią tylko wtedy, gdy trzeba było poinformować skołowaną dziewczynę o kolejnej zmianie, na którą ona nie była wcale gotowa.

Ostatnia ciężarówka nareszcie opuściła podjazd. Dziewczyna odetchnęła głęboko i bardzo powoli rozejrzała się po okolicy. To osiedle różniło się nieco od miejsc, które zamieszkiwała wcześniej. Było idealne. Każdy dom miał swój własny ogródek, niezwykle zadbane, perfekcyjny. Żadnych ogrodzeń, jedynie zielona trawa i podjazdy usypane z białych kamyczków. Szeroka ulica, a po dwóch jej stronach równe rzędy takich samych domków.

Odwróciła się na pięcie, przyciskając do siebie egzemplarz „Małego Księcia”. Jej wzrok spoczął na młodym mężczyźnie po drugiej stronie ulicy. Wysokie różane krzewy zakrywały niemalże całą jego postać. Spoglądał w jej stronę, ale nie miała pewności, czy patrzy właśnie na nią. Ciemne, duże okulary przeciwsłoneczne świetnie ukrywały jego oczy. Przygryzła wargę i zakładając za ucho kosmyk włosów, uniosła nieśmiało dłoń. Pomachała delikatnie, przywołując na bladą twarz nikły uśmiech. Młody mężczyzna podniósł się powoli, zwilżając ledwo widocznie wargę. Założył leniwym ruchem okulary na włosy i zmrużył lekko oczy. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji. Spoglądał w stronę blondynki, ale nie odwzajemnił jej gestu. Nawet się nie poruszył. Zacisnął jedynie palce na rączce sekatora.

Choć nigdy nie powinno się oceniać po pozorach, wszyscy jesteśmy tylko ludźmi. A w tym świecie liczy się przede wszystkim pierwsze wrażenie. A jej pierwsze wrażenie było tak podobne do zdania innych mieszkańców osiedla. Młody, wysoki mężczyzna w kolorowej koszuli i krótkich spodenkach wydał jej się dziwny. Najzwyczajniej w świecie dziwny. Nie dlatego, że nie odmachął. Nawet nie dlatego, że się nie uśmiechnął. Już wtedy, na podjeździe, kiedy trzymała

kurczowo książkę i drżała z przerażenia przed nieznanym, młody sąsiad wywarł na niej specyficzne wrażenie. I już wtedy powinna zdecydować o trzymaniu się od niego jak najdalej.

– Bree, pośpiesz się! – Krzyk matki wyrwał dziewczynę z letargu, więc potrząsnęła głową i w pośpiechu skierowała się do nowego domu.

\*

Lubiła wieczory i noce. Mogła wtedy zatopić się spokojnie w lekturze, którą przerabiała już miliony razy. Miała tysiące książek, jednak jej serce skradł właśnie „Mały Książę”. Uwielbiała powracać do niego w takie noce jak ta. Przy małej lampce, otoczona poduszkami i świeżą pościelą.

W za dużej czarno-żółtej bluzce podeszła do okna. Uniosła ręce, chcąc zaciągnąć zasłony. Coś jednak przykuło jej uwagę. W domu po drugiej stronie ulicy, na wysokości jej okna, paliło się światło. Tylko i wyłącznie w pokoju na piętrze. Zauważyła wysoką postać stojącą tuż przy oknie. Spoglądającą w jej stronę. Spoglądającą w jej stronę bez żadnego zakłopotania.

Jej ciało przeszły dreszcze. To nie było normalne, choć może tylko sobie to wmówiła. Przygryzła wargę ze zdenerwowania, spojrzała po raz ostatni w okno młodego mężczyzny i w pośpiechu zaciągnęła ciemne zasłony.

Ludzie znajdują zapomnienie we wszystkim. Niektórzy wybierają narkotyki, niektórzy alkohol. Jeszcze inni internet lub codzienne imprezy. Są również ci, którzy ukochali samotność, książki, sztukę. Ile ludzi na świecie, tyle sposobów. Ile na świecie zagubionych dusz, tyle obsesji. Niektórzy jednak, w całkowitej desperacji i niemocy poradzenia sobie z ciągłym odrzuceniem i własną słabością, chwytają się pierwszej osoby, która okaże im choć odrobinę uwagi. Trzymają się jej kurczowo i nie potrafią – a może raczej nie chcą – dopuścić do siebie myśli, że właśnie ten jeden, konkretny człowiek jest najgorszym wyborem ich życia. Nie widzą tego, otrzymując od niego to, czego przez całe życie poszukiwali – zainteresowanie i troskę. Ona była naiwna w swoim zagubieniu, a on był specyficzny w swej wyjątkowości i raczej nic nie wskazywało na jakiegokolwiek zmiany.

\*

Pierwszy dzień szkoły dla większości młodych ludzi jest bardzo stresującym wydarzeniem. Ona już dawno powinna przyzwyczaić się do przeprowadzek, do nowych twarzy co miesiąc. Powinna znakomicie radzić sobie z zagubieniem i stresem. Nie знаła nikogo, kto zaczynałby nową szkołę tyle razy co ona. Powinna tak wiele rzeczy, nauczona doświadczeniem. Ale nie potrafiła. Nie radziła sobie z nerwami i świadomością spędzenia kilku godzin z całkowicie obcymi osobami, w całkowicie nowym miejscu.

Tego ranka, podobnie jak każdego innego, wyrzuciła do kosza śniadanie, które w ostatniej chwili zrobiła jej rodzicielka. Zamiast tego wyjęła z torby pudełko białych tabletek. To od dłuższego czasu był jej prawdziwy posiłek: tabletki na uspokojenie, które zapisywali jej znalezieni przez rodziców terapeutyci, solidnie opłacani za utrzymanie ich córki w dobrym stanie. Bree coraz częściej miała wrażenie, że ojciec i matka płacą obcym ludziom, by nie mieć wyrzutów. Myśleli, że pieniędzmi można załatwić wszystko. Mylili się. Tabletki na uspokojenie, tabletki odchudzające i mała szklanka soku pomarańczowego. Ostatnie spojrzenie w swoje odbicie, na którym zawsze tak bardzo się zawodziła, i w końcu mogła wyjść z domu. Wyjść w nieznaną, naprzeciw nowym szansom, które i tak przecież zaprzepaści. Opuszczając swój podjazd, skierowała się na przystanek autobusowy, a przez cały ten czas miała dziwne wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Mimochodem zerknęła w stronę domu naprzeciwko. Zasłony w kuchni opadły w ekspresowym tempie, a ciemna postać zniknęła gdzieś w głębi pomieszczenia.

Ten dzień mogła zdecydowanie zaliczyć do tych nieudanych. Dziesiątki dziwnych spojrzeń i ani jednego miłego słowa od rówieśników – to wcale nie zdziwiło zdenerwowanej blondynki. I choć miała nadzieję na całkowitą zmianę, paradoksalnie wcale się nie zawiodła. To zaczynało wyglądać tak, jak gdyby wcale nie chciała nawiązywać znajomości. Jak gdyby nauczyła się żyć w samotności tak umiejętnie, że inni ludzie jedynie niszczyliby jej malutki świat, który sobie zbudowała.

\*

Niebo przybierało odcienie pomarańczy, wiatr smagał policzki. Dziewczyna zaciskała dłonie na rączce torby. Wracała piechotą, wdychając przepełnione tajemnicami powietrze. Mrużyła oczy i rozglądała się po okolicy. To było zbyt spokojne osiedle ze zbyt małą liczbą ludzi. Wszystko zbyt idealne. Każdy mijany krzew rosnący przy perfekcyjnym i takim samym jak inne domu. To było przerażające, nienormalne. Zwilżyła wargi i przyśpieszyła kroku, by w krótkim czasie znaleźć się przy własnym domu, identycznym jak pozostałe. Zanim jeszcze przekroczyła próg, spojrzała za siebie. Młody, wysoki i świetnie zbudowany sąsiad stał przy jednym z wielu krzewów różanych. W dłoniach dzierżył sekator i pochylał się nad roślinami. Westchnęła, przyglądając się sporemu tatuazowi znajdującemu się na jego torsie. Przesunęła wzrokiem po mięśniach, które bardzo widocznie napinały się i rozluźniały, gdy pracował w ogrodzie. Wciąż pocierał wargę i marszczył czoło. Wydawało się, że w ogóle nie zauważa otaczającego go świata. Skupiony na pracy, idealnie obcinał suche już gałązki krzewu. Kosmyki kasztanowych włosów co chwilę opadały mu na czoło, a każde ich odgarnięcie niedbałym ruchem ręki skutkowało przedziwnymi ciarkami na całym ciele patrzącej dziewczyny.



Przygryzła wargę i postanowiła zaryzykować. Nie miała nic do stracenia. Poczula w sobie odrobinę odwagi, więc zacisnęła palce na torbie i oddychając głęboko, skierowała się w stronę domu po drugiej stronie ulicy. Chciała się przywitać, odezwać. Po raz pierwszy tego dnia i po raz pierwszy z własnej woli. Gdy dotarła do ulicy, jej spojrzenie spotkało się ze wzrokiem młodego mężczyzny. Rozchyliła usta i zadrżała. I to wcale nie było przyjemne. Cała jej odwaga i chęci zniknęły w jednej chwili, gdzieś wyparowały. Jego wzrok onieśmielał, odbierał całą pewność siebie. Przeszywał na wskroś. Był przerażający w swej natarczywości i ciekawości. Bree zacisnęła palce na rączce torby i cofnęła się o krok. Mężczyzna stanął prosto, wciąż nie odrywając wzroku od zdezorientowanej blondynki. Choć znajdowali się po dwóch stronach ulicy, ona była zdolna poczuć ten przedziwny chłód, jakim emanował chłopak.

W jednej ręce mocno trzymał sekator. Drugą dłonią przeczesał włosy, a językiem zwilżył wargi. Wszystko robił niezwykle powoli, trochę zbyt leniwie, uważnie przyglądając się reakcjom dziewczyny. Bree nie wytrzymała, jego spojrzenie było zbyt przeszywające, zbyt chłodne. Cofnęła się dwa kroki, odwróciła gwałtownie i szybko skierowała w stronę domu.

Człowiek nie musi robić nic szczególnego, by reszta społeczności, w jakiej żyje, uznała go za dziwnego. Wystarczy, że ktoś nie odzywa się do nikogo lub robi to bardzo rzadko. Wystarczy, że ma swoje pasje, którym poświęca prawie cały swój czas. W ciągu kilku dni całe sąsiedztwo napiętnowało już młodego mężczyznę, który dbał, by jego róże zawsze wyglądały idealnie. Mężczyznę, który jeśli już wychodził, to robił to rzadko, zawsze z aparatem i miał wówczas tajemniczy wyraz twarzy. Był po prostu dziwny, przerażający, żył w swoim własnym świecie. Dlaczego to właśnie Bree przypadło poznanie bliżej tego wyjątkowego mężczyzny? Nikt się tego nie spodziewał. Nikt tego nie chciał. Nikt nie mógł temu zapobiec. Nie wszystkie przypadki są dobre. Nie wszystkie uśmiechy są szczere. Nie wszystkie słowa są prawdziwe. Nie wszystkie niewinne pozory takie są. I nie wszyscy ludzie są „normalni”.

## Rozdział 2

Nadszedł w końcu upragniony weekend. Był przepiękny, sobotni poranek. Już od wschodu słońca wesołe ptaki wyśpiewywały trele, siedząc pomiędzy gałęziami idealnie przystrzyżonych drzew i krzewów. Takie dni powinno spędzać się z rodziną. Może w ogródku, przy rozmowie. Albo przed telewizorem w salonie. Ale nie w jej rodzinie. Bree nie pamiętała, kiedy ostatnio jej rodzice usiedli z nią przy herbacie czy obiedzie. Nie pamiętała, kiedy ostatnio spytali o cokolwiek dotyczącego jej osoby. Może nie miała życia towarzyskiego, ale to przecież nie jest ważne. Najważniejsza jest bliskość rodziny. Coś, czego ona nigdy nie doświadczyła.

Leniwie spuściła chude nogi z łóżka i obciągnęła za długą, czarną bluzkę. Ziewnęła i przeciągnęła się, stając tuż przy niezastłoniętym oknie. Gdy uniosła rękę, koszulka odsłoniła nieznacznie skrawek jej pasiastych majtek. Zerknęła kątem oka przez okno, chcąc spojrzeć na ulicę. Ale jej wzrok skierował się w stronę domu tuż naprzeciwko. Spuściła gwałtownie rękę i obciągnęła szybko koszulkę. Młody mężczyzna stał bez ruchu przy swym oknie i wpatrywał się w nią. Oblizując wargi, nie mrugając, nie krępując się. Jej serce zabiło, odskoczyła więc szybko z pola widzenia sąsiada i oparła się plecami o ścianę. Kilka głębokich wdechów i poczuła w końcu ulgę. To już kolejny raz, gdy nakryła chłopaka na wpatrywaniu się w nią i to w tak ostentacyjny sposób. A może to tylko moja paranoja? – pomyślała, krzywiąc się.

Niespiesznie zeszła na dół. W wielkim domu panowała cisza. Przerazająca cisza, do której Bree znakomicie się przyzwyczaiła. To wcale nie było trudne. I zaczynała kochać tę samotność, ten brak ludzkich głosów. Jediną muzyką, jaka jej towarzyszyła, był odgłos niepewnie stawianych kroków.

Zmierzyła niedbale włosy i odetchnęła, układając nagie stopy na zimnych płytkach kuchni. Idealny porządek w każdym kącie pomieszczenia. Pełna lodówka, którą otwierała tylko i wyłącznie po to, by wyjąć swój ulubiony sok pomarańczowy.

Zajrzała do szafki, w której trzymała swoje śniadanie. Pigułki dające jej ulgę, pomagające przeżyć kolejny monotony dzień. Również te, które imitowały posiłek, wypełniając jej żołądek niczym. Ale nagle niepokój i zdenerwowanie ogarnęły jej serce. Te najważniejsze tabletki właśnie się skończyły. Wstrzymała powietrze i zadrżała. Bardzo powoli ogarniała ją panika. Przeszukała nerwowo wszystkie możliwe szafki, szuflady i schowki. Nigdzie nie było zapasowych pudełek. Opadła zrezygnowana na krzesło i odetchnęła głęboko. Nie potrafiła już zacząć dnia bez swojego mało wyrefinowanego śniadania.

W pewnym momencie podniosła się i nie dbając nawet o porządny wygląd, chwyciła torebkę. Sprawdziła jedynie, czy na pewno ma portfel, złapała pęk kluczy

i wybiegła z domu. Szybkim krokiem, prawie na ślepo, pokonywała ulicę. Nie miała pojęcia, gdzie znajduje się najbliższa apteka, więc pytała o drogę każdą napotkaną osobę. Ludzie w jej sąsiedztwie byli niezwykle dziwni. Okropnie niemili. Za bardzo się gdzieś śpieszyli. Jedyne starsza pani o niezwykle bujnych, siwych włosach okazała nieco serca zdesperowanej już dziewczynie i wskazała jej właściwy kierunek.

Bawiąc się nerwowo palcami i co chwilę zakładając niesforne kosmyki włosów za ucho, Bree stanęła w długiej kolejce. Rozglądała się zamglonym wzrokiem, nie widząc nic. Była niczym zaślepiony głodem ćpun, któremu skończył się towar. Nareszcie nadeszła jej kolej. Podeszła na drżących nogach do okienka i zmusiła się do spojrzenia w oczy młodej, uśmiechniętej kobiecie.

– Dzień dobry – odezwała się drżącym głosem. I choć sama nie rozumiała, dlaczego, okropnie się denerwowała. Jak gdyby tabletki, które chciała kupić, były całkowicie nielegalne, dziwne, nieuznane przez resztę społeczeństwa.

– Dwadzieścia funtów. – Kobieta podała pudełko i uśmiechnęła się radośnie.

Bree skinęła głową i zaczęła grzebać w torebce w poszukiwaniu portfela. Gdy nareszcie udało jej się odnaleźć kolorową saszetkę, zatrzymała powietrze w płucach. Kilkakrotnie przerzucała stare paragony i inne niepotrzebne rzeczy zaśmiecające jej portmonetkę. Przerazona, spojrzała na kobietę, której uśmiech zniknął z twarzy z każdą minutą. Po raz pierwszy w życiu dziewczynie zabrakło pieniędzy. Zbyt przejęta, nie sprawdziła przed wyjściem z domu swoich funduszy.

– Wszystko w porządku? – spytała zniecierpliwiona aptekarka.

Dziewczyna skinęła energicznie głową i wsunęła rękę do torebki z nadzieją, że może znajdzie tam jakieś drobne. Niestety bezskutecznie. Nie było jej stać na najważniejsze dla niej tabletki. Na jedyne, co brała do ust każdego dnia. Jej serce biło szybciej, zdenerwowanie rozlewało się po chudym ciele. Nie było szans, nie miała tylu pieniędzy.

– Ja zapłacę. – Usłyszała nagle zachrypnięty, dość niski męski głos. Odwróciła się powoli, a jej ciało wypełniły nieprzyjemne dreszcze. Jej sąsiad spoglądał na nią z góry. Z miną całkowicie bez wyrazu. Leniwym ruchem wyjął z tylnej kieszeni portfel.

– Nie – szepnęła, cofając się powoli. – Nie może pan. Przecież się nawet nie...

Nie dając dokończyć zdenerwowanej dziewczynie, wyminął ją zwinnie i układając banknot, chwycił pudełko tabletek. Odwrócił się w stronę zdezorientowanej Bree i wręczył jej zakup. Uniosła drżącą dłoń, spoglądając w jego oczy. Zielone, ciemniejące z każdą sekundą, emanujące chłodem i czymś tajemniczym. Zacisnęła palce na pudełeczku i wybiegła z apteki.

Bardzo powoli podążała w stronę domu, w dłoniach dźwigając pudełko tabletek na odchudzanie. W głowie wciąż słyszała głos młodego mężczyzny.

Nagle, jak gdyby wywołany myślami, znajomy głos dobiegł zza jej pleców. Odwróciła powoli głowę. Wysoki mężczyzna podążał w jej stronę pewnym, acz leniwym krokiem. Zatrzymała się. Na jej ciele pojawiła się gęsia skórka, a dłonie zaczęły trząść się o wiele bardziej niż wcześniej. Mogła na niego nie czekać. Przecież nie miała takiego obowiązku. Ale ciekawość wzięła górę nad rozsądkiem.

– Nie jesteś zbyt chuda na takie tabletki? – spytał bezceremonialnie, stając naprzeciwko coraz bardziej przerażonej dziewczyny.

Rozchyliła usta, ale nie potrafiła się odezwać. Bo nie mogła oderwać wzroku od jego oczu, które paraliżowały i przerażały, a jednocześnie hipnotyzowały.

– N-nie – szepnęła w końcu, spuszczać wzrok. Nareszcie uwolniła się od niebezpiecznej zieleni jego oczu.

– Odprowadzę cię – stwierdził, robiąc krok w przód.

– Nie, nie trzeba...

– Chodź – rzucił ostrzej, nie patrząc nawet na dziewczynę.

Skinęła lekko głową i ruszyła za młodym mężczyzną. Wcale nie musiała, nikt jej przecież nie kazał. Nikt nie związał i nie pociągnął jej za sobą. Ale jakaś dziwna siła, jakaś niewidoczna więź pomiędzy nią a młodym sąsiadem nakazała jej podążać śladami jego dużych stóp.

Wcale się nie śpieszył, nawet się nie odzywał. Jedyne zerkał kątem oka, czy blondynka jest gdzieś obok. Ona ledwo nadażała za jego długimi krokami, ściskając rączkę torebki i zerkając pod nogi. Nie odzywała się. Wciąż bowiem bała się dziwnego wzroku i przyprawiającego o dreszcze głosu mężczyzny. A miała tak wiele pytań. Chociażby to najbanalniejsze – jak się nazywa? Dlaczego jej pomógł? Kiedy ma oddać mu pieniądze?

Gdy dotarli na swoją ulicę, zielonooki po raz ostatni obdarował ją chłodnym spojrzeniem. Lustrując jej chude ciało od stóp do głów, zwilżył usta i niewidocznie napiął mięśnie. I już wiedział. I już chciał. I już pragnął.

– Do zobaczenia – odezwał się niezwykle niskim, sensualnym głosem. Nie czekając na odpowiedź, przebiegł na drugą stronę i zniknął za masywnymi drzwiami swego domu.

Zostawił ją otępiałą. Z gonitwą myśli w głowie, chłodem w sercu i gęsią skórą na całym ciele. Pokręciła powoli głowę. Odwróciła się i skierowała w stronę domu. Tam – już mniej drżącymi rękoma – otworzyła pudełko i połknęła kilka tabletek na raz. Opadła na krzesło i odetchnęła z ulgą.

Nie każda anorektyczka jest pustą egoistką i nie każdy chłopiec o anielskiej twarzy jest zdrowy psychicznie. Nie każda tabletką pomaga i nie każdy piękny kwiat daje ukojenie zmysłów. Nie każdy jest odpowiednim obiektem do ulokowania swych pragnień i tęsknot. Jednak każda obsesja jest przerażająca. A on zaczynał mieć obsesję nie tylko na punkcie swego idealnego ogródka.

### Rozdział 3

Ciemny pokój oświetlało jedynie mocne czerwone światło. Kilka sznurków wiszących pod sufitem. Mnóstwo pojemników i setki zdjęć. Nawet w powietrzu można było wyczuć nadzwyczaj wyjątkową atmosferę. Mięśnie Harry'ego napinały się z każdym ruchem i każdym spojrzeniem na postać znajdującą się na kolejnych zdjęciach. Na wszystkich fotografiach ta sama osoba. Co chwilę zwilżał językiem usta, jego źrenice rozszerzały się, a w głowie rodziła się setka niemożliwych do zrozumienia myśli.

Po opalonym i pokrytym czarnymi malunkami ciele chłopaka spływały pojedyncze krople potu. Był tak skupiony na swej pracy i tak nią podniecony, że nie zwracał nawet uwagi na duchotę panującą w pomieszczeniu. I nagle coś wyrwało młodego mężczyznę z jego świata. Uniósł leniwie głowę, słysząc dzwonek do drzwi, i przeczesał palcami włosy. Odłożył trzymane zdjęcie i opuścił ciemnię.

Gdy otworzył drzwi, jego mięśnie napięły się znacznie bardziej, a myśli zaczęły wariować. Językiem przesunął leniwie po czerwonych od przygryzania wargach. Na białych drewnianych schodkach jego ganku stała ona. Niska, chuda blondynka o zbyt dużych niebieskich oczach, których blask zgasł już dawno temu. Próbowwała przywołać uśmiech, lecz nie wychodziło jej to. Była zbyt przerażona i on świetnie to widział.

– Dzień dobry – powiedział powoli, jak to miał w zwyczaju.

– Przyszłam, bo... Byłam panu winna pieniądze. Proszę – dodała ledwo słyszalnie, wyciągając chudą dłoń w jego stronę. Kurczowo ścisnęła dwudziestofuntowy banknot i nieustannie starała się uśmiechać. Wciąż z tym samym, marnym skutkiem.

Zlustrował jej bladą, drżącą dłoń, by zaraz potem przesunąć wzrokiem po jej smukłej szyi i zatrzymać się na pełnych wargach: tak pięknych, nieskalanych, kuszących. Mimowolnie zwilżył swoje i oparł się o framugę, wcześniej szczerze zamykając za sobą drzwi wejściowe.

– Nie musisz mi ich oddawać – rzekł w końcu, a jego głos był bardziej zachrypnięty niż wcześniej.

– Muszę – pisnęła, chrząkając szybko. Jej klatka piersiowa unosiła się zbyt szybko. Denerwowała się. Z każdą minutą coraz bardziej. – I jeszcze raz panu dziękuję.

– Nie mów tak na mnie. Choć – chwycił w dłoń banknot, zupełnie niechcący muskając palcem jej skórę – to może wydać się całkiem nęcące – dodał po chwili, unosząc nieznacznie kącik ust. – Mów mi po imieniu, Bree.

– Skąd pan... – Jej oczy zabłysły, policzki wypełniły się powietrzem, a ciało ogarnęły nieprzyjemne dreszcze.

– Słyszałem – przerwał jej, odgarniając leniwie irytujący kosmyk włosów z oczu. – Jestem Harry. – Wyciągnął dłoń w stronę dziewczyny.

Zlustrowała ją bardzo dokładnie. Długie, chude, opalone palce, męskie, poharatane przez kolce róż dłonie wyglądały całkiem zachęcająco. Już wtedy wiedziała, że ta część ciała młodego mężczyzny będzie należeć do jej ulubionych. Oplotła drżącą ręką jego dłoń. I w tamtym momencie jej myśli ogarnęła dziwna obawa. Jak gdyby cały jej organizm zaczął piszczeć alarmująco. Jak gdyby gdzieś w środku zapaliła się czerwona lampka. Lecz ona to wszystko całkowicie zignorowała.

A on w tamtej chwili wiedział lepiej. Chciał bardziej. Pragnął mocniej.

\*

Tego wieczoru niebo wypełniły miliony jasnych punkcików. Przyjemnie ciepły wiatr smagał twarze nielicznych przechodniów. Wszystko wydawało się piękne, optymistyczne, urocze. Całkiem normalne. W pobliskich domach zapalały się powoli światła, a ich mieszkańcy zasiadali do kolacji, wspólnych seansów filmowych czy rozmów.

Dla Harry'ego był to kolejny samotny wieczór. Wszystko, co robił, wyglądało jak doskonale zaplanowany rytuał, perfekcyjnie rozłożony w czasie. Co do minuty. Zasiadał do samotnej kolacji o dwudziestej. Posiłek zajmował mu około dziesięciu minut. Zmywanie to kolejne pięć minut. Spacer z kuchni do salonu, zajęcie miejsca na jednym z dwóch foteli i włączenie telewizora – kolejne pięć. Jeszcze nigdy nie zdarzyło mu się wypaść z ustalonych ram. Serial, który trwał dokładnie pół godziny. Prysznic, który nigdy nie zajmował mu więcej niż piętnaście minut. Ale tego wieczoru postanowił coś zmienić. Nakarmić swoją nową, nienasyconą, rosnącą obsesję.

Pod oknem w swej sypialni wcześniej ustawił statyw, a na nim aparat. Teraz odchylił lekko firankę i po raz ostatni sprawdził, czy dobrze skierował obiektyw. Czekał. Usiadł na brzegu dużego łóżka zaścielonego kolorowym kocem w przeróżne wzory. Prezent od babci, która była jedyną osobą rozumiejącą jego osobowość. Może nawet lepiej niż on sam.

To właśnie ona wychowała małego Harry'ego. Była przy nim w szczęściu i chorobie. Gdy po raz pierwszy dostał dobrą ocenę w szkole i kiedy chorował na zapalenie płuc. Była, gdy poznał pierwszą dziewczynę i napawał się każdą związaną z tym szczęśliwą chwilą. Była również wtedy, gdy pozostał ze złamanym sercem. Była taka jak on. Była samotnikiem kochającym kwiaty i swojego wnuczka. Była inna. Inna od reszty rodziny. Wszystko, co potrafił, zawdzięczał właśnie jej. Wszystko, co miał, zawdzięczał jej spadkowi. Pieniądzom, które ustawiły go do końca życia. Nikt nigdy nie wiedział, skąd babcia Sore miała aż tyle.

Harry chwycił w dłonie ramkę ze zdjęciem. Ona i on. Szczęśliwi. W swoim własnym, prywatnym, niezwykłym świecie.

Nagle światło w pokoju tuż naprzeciwko jego okna rozbłysło. Podniósł się powoli i podszedł do aparatu umieszczonego na statywie. Odchylił delikatnie firankę. Była tam. Krążyła po pokoju. Włączył kamerę, stanął tuż za nią i wpatrywał się w każdy ruch blondynki. Patrzył, jak odgarnia niesforne włosy, jak krzywi się, jak pociera policzki. Czekał na uśmiech, który jednak się nie pojawił. Nie domyślając się, co robi młody mężczyzna, stanęła tuż przy oknie. Mrużąc oczy, podnosiła powoli koszulkę. Każdy odsłonięty skrawek jej bladego, chudego ciała przyprawiał go o dreszcze. Potarł czoło i napiął mięśnie. Nie był tak banalnym i przewidywalnym mężczyzną, którego kręci jedynie fizyczność. Niewinna fizyczność jego młodej sąsiadki. Harry zdecydowanie uwielbiał przyglądać się jej postaci. O wiele bardziej złożonej, aniżeli mogłoby się wydawać. Rejestrował każdy jej ruch. Zapamiętywał jej nawyki. Stojąc tam i wpatrując się w Bree, karmił i jednocześnie podsycił swoją obsesję.

## Rozdział 4

W samej bieliźnie stanęła przy umywalce, chwyciła szczoteczkę do zębów i wycisnęła na nią pastę. Uniosła rękę i mimochodem spojrzała na swoje odbicie. Momentalnie zacisnęła wargi, a jej palce mocniej oplotły trzymany przedmiot. Spuściła dłoń. Nie odrywała wzroku od lustra, czuła, jak jej ciało ogarniają nieprzyjemne dreszcze. Powoli przesuwiała wzrokiem po swych ramionach, piersiach, rękach, brzuchu. Odrzuciła szczoteczkę i cofnęła się o krok. Nienawidziła tego widoku i unikała go, jak tylko mogła. Ale czasem po prostu nie mamy wyjścia. Musimy przejrzeć się w lustrze. Nawet niechcący.

Odruch wymiotny i jeszcze bledsza skóra, nieprzyjemne dreszcze i obrzydzenie. Wszystko to towarzyszyło Bree, gdy spoglądała na swoje ciało. Na pełne niedoskonałości ciała, które wciąż – tylko i wyłącznie według dziewczyny – było zbyt grube, zbyt okropne. Znów podeszła do umywalki. Zacisnęła palce na jej brzegach i spuściła głowę. Jej oddech znacznie przyśpieszył. Zmrużyła powieki, czując jak złość i obrzydzenie do samej siebie znów wypełniają jej wnętrze. Nie wytrzymała, machnęła energicznie ręką, zrzucając na podłogę pustą szklankę. Naczynie rozbiło się na małe kawałeczki, a Bree poczuła, jak jej emocje stają się intensywniejsze. Pochłaniają ją. Opadła na kolana, a z jej oczu popłynęły łzy bezsilności i nienawiści do samej siebie. Kątem oka zauważyła większy kawałek szkła. Chwyciła go pewnie i zacisnęła na nim palce. Wzdłuż jej dłoni spłynęły pierwsze strużki krwi. Ale to było nic, nawet tego nie poczuła. Przygryzła wargę i niedbale odgarnęła blond kosmyk z oczu. Spojrzała na swoje uda, na bladą skórę szerokich i okropnych ud. Zacisnęła zęby i wbiła w nie szkło. Przesunęła je powoli przez całą szerokość skóry. Syczała z bólu i nienawidziła widoku krwi. Ale niechęć do samej siebie była o wiele większa. Ból fizyczny, jaki sprawiała sobie w tamtym momencie, przesuwając ostrą częścią rozbitej szklanki po udzie i nadgarstku, był niczym w porównaniu do bólu psychicznego, do poczucia poniżenia i beznadziejności.

Odrzuciła z pogardą zakrwawiony kawałek szkła i jęknęła z bólu. O wiele głośniejsze i żałośniejsze. W tym samym momencie dosłyszała krzyk swojej matki oznajmiający o spóźnieniu się do szkoły. Sprzątnęła więc szybko cały bałagan, umyła nogę oraz nadgarstek i jak gdyby nigdy nic opuściła łazienkę.

\*

Po kilku męczących, monotonnych godzinach opuściła budynek szkoły. Szybkim krokiem skierowała się w stronę bramy dzielącej ją od wolności, od spokoju, od dziwnych ukradkowych spojrzeń i niepokojących szeptów. Zacisnęła blade palce na pasku torby i przyśpieszyła kroku, odprowadzana spojrzeniami innych uczniów. Spojrzeniami pełnymi drwiny, pożałowania.



Stanął przy zielonej siatce. Co chwilę zaczesywał niesforne, kasztanowe loki i obserwował dziewczynę. Dokładnie przyglądał się każdemu jej ruchowi. Każdemu mrugnieniu, każdej minie. Widział na jej twarzy ból. To wcale nie przypadek zaprowadził go pod jej szkołę. Nie musiał nawet oszukiwać samego siebie. Dzierżąc w dłoniach aparat, unosił go co chwilę i skupiał się na jedynym obiekcie, który chciał uwiecznić. Na jedynym, który go obchodził.

Nareszcie opuściła teren szkoły. Wyprostował się i pocierając kciukiem wargę, ruszył za blondynką. Stawiał długie kroki. Na jego twarzy pojawił się uśmiech. Coraz szerszy i coraz bardziej niepokojący.

– Chyba nie masz zbyt wielu przyjaciół – stwierdził jakby od niechcienia, gdy już zrównał z nią krok.

Odwróciła się gwałtownie tak bardzo przerażona, że potknęła się o własne nogi. Złapał ją w ostatniej chwili. Zacisnął palce wokół jej chudego nadgarstka. Prostując się, odzyskała równowagę. Jednak młody mężczyzna wcale nie zamierzał jej puszczać. Rozluźnił nieco uścisk i spojrzał na jej rękę. Pokręcił głową i spojrzał Bree w twarz. Dzikość jego spojrzenia przeszła ją na wskroś. Zadrżała. Poczul to doskonale.

– Co tu robisz? – odważyła się w końcu odezwać, patrząc znacząco na jego dłoń. – I już możesz mnie puścić.

Po raz ostatni przejechał opuszkami palców po jej świeżych bliznach i odsunął się.

– Spotykamy się zupełnym przypadkiem. Dlaczego to zrobiłaś? – spytał bez żadnych ceregieli. Był bezpośredni. Zbyt bezpośredni i zbyt przerażający.

– To nie powinno cię interesować – wypaliła bez namysłu, chowając za plecami rękę.

– A jednak interesuje. Nie można tak robić, Bree. – Gdy mówił, nie odrywał od niej wzroku. Nawet nie mrugał. Jego źrenice poszerzały się, a mięśnie napinały.

– Nie możesz mi tego zabronić – szepnęła, spuszczaając głowę.

– Ale mogę ci pomóc. Daj sobie pomóc – dodał ciszej, postępując krok w jej stronę. – Dlaczego to zrobiłaś?

– Bo czasami samookaleczanie się jest jedynym sposobem walki z własnymi demonami – rzuciła ledwo słyszalnie, wzruszając ramionami. Odwróciła się na pięcie i zaciskając chude piąstki, ruszyła przed siebie.

Nie pozwolił jej odejść. Ani wtedy, ani nigdy później. Tymi słowami podsyciła jego obsesję, chore pragnienie chronienia jej, choć wcale jej nie znał. Chronienia jej nawet na siłę, wbrew jej woli. A ona nawet nie domyślała się, że nękają ich podobne demony; nie podejrzewała, jak wiele łączy ją z młodym zielonookim sąsiadem, który właśnie podążał jej śladami.

– Odprowadzę cię – rzucił niezwykle niskim głosem. Wyłączył czarną lustrzaną i przewiesił ją przez ramię. Wyrównał krok z blondynką.

Nigdy nie powinno się dawać zwieść pozorom. Nigdy nie powinno dawać się skusić i unicestwić pięknymi słowami. Nigdy nie powinno się ufać niektórym ludziom.

Kłęczał na czarnej ziemi, kaleczył swe długie palce, ale wcale nie odczuwał bólu. Skupiał się na wykonywanej czynności. Robił to z niezwykłą fascynacją. Kochał kwiaty. Kochał je obsesyjnie. Ale ten jeden pokochał najbardziej. Pośród setki krzewów czerwonych róż zasadził kolejny. Inny, odmienny. Krzew białych róż. A każdy kwitnący pączek kwiatów nazywał tak samo. Bree.

## Rozdział 5

Ktoś, kto w całym swoim życiu nie doświadczył ani grama czułości, sam nie wie, jak zachłannie i podświadomie jej poszukuje. W każdym człowieku, w każdym gościu, w każdym spojrzeniu. Nie uzyskując żadnego zainteresowania, załamuje się, by krótko potem poddać się wewnętrznym demonom; głosom, które wciąż powtarzają, jak jest beznadziejnie. Nowa nadzieja pojawia się ze spojrzeniem kogoś zupełnie obcego, z zainteresowaniem kogoś zupełnie nieodpowiedniego. Co wtedy robi taka osoba? Chwyta się nieznajomego. Łapczywie ściska jego lub dłonie, zachłannie pragnie spojrzeń i ciepła. Choć czasem sama nie dopuszcza tego do siebie, wcale tego nie chce. Często jednak wystarczy jeden mały gest. Bodziec, który popycha w ramiona największego demona. Diabła o twarzy anioła. A wtedy nie pomagają żadne tabletki, nie ma już ucieczki. Bo najgorsze jest uwięzienie zmysłów. Gorsze nawet od najboleśniejszych kajdanek, spętanie myśli, odurzenie zmysłów jego zapachem.

Siedziała na ganku, w wiklinowym, bujanym fotelu. W dłoniach ściskała ulubioną książkę. Słabe światło małej lampki wiszącej tuż nad nią padało na jej zmęczoną twarz. Została sama. Po raz kolejny porzucona przez rodziców na rzecz delegacji, które prawie zawsze dziwnym trafem wypadały im dokładnie w tym samym czasie. Ale nie miała im tego za złe. Już nie. Za bardzo przyzwyczyła się do samotności. Nie czuła się pewnie, gdy jej rodzice przechadzali się po pokojach.

Blond kosmyki włosów zakrywały jej wielkie oczy. Powieki opadały ociężale, ale nie chciała rezygnować z czytania. Gdy zatapiała się w lekturze, choć na chwilę mogła przenieść się do lepszego świata. Świata bez bólu, bez przeidealizowanych kanonów, do których ona nigdy nie zbliży się choćby na krok. Czytanie było jej ucieczką przed złymi myślami, przed demonami i chęcią sięgnięcia po ostry przedmiot. Czuła się bezpiecznie. Tak, jak powinna się czuć. Pochłonięta książką, była zupełnie nieświadoma, że nie wszyscy jej sąsiedzi smacznie śpią.

\*

Cały wieczór spędził w jednej pozycji, w jednym pomieszczeniu, przyglądając się chudej postaci swojej sąsiadki. Nie odczuwał zmęczenia, nie odczuwał nudy ani bólu nóg. Stał prosty niczym struna, a jego zielone oczy obserwowały dokładnie każdy ruch blondynki. Źrenice Harry'ego kurczyły się i rozszerzały w rytm szalejących w jego głowie myśli.

Wolnym krokiem pokonał ulicę i kamienistą alejkę, stanął na białym ganku sąsiadki. Nie zauważyła jego obecności, gdyż spała smacznie, z otwartą książką umieszczoną na piersiach i na w pół otwartymi ustami. Wyprostował się i bardzo

dokładnie przesunął wzrokiem po jej ciele i twarzy. I pragnął jej mocniej, chciał więcej. Ale jego chora obsesja zmieniła się w czułą troskę w ciągu kilku chwil, gdy zatrzymał wzrok na jej udach. Pokręcił powoli głową, westchnął dyskretnie i kucnął tuż przed wciąż drzemiącą dziewczyną.

Na ten moment czekał całymi wieczorami. Ułożył rozgrzaną dłoń na jej zimnym policzku – nie poruszyła się. Przesunął koniuszkami palców po jej skórze, po nosie, po pełnych, chłodnych wargach i przysunął się bliżej. Opuszkami palca sunął po jej rozwartych ustach, karmiąc swe pragnienia, zaspokajając potrzebę bliskości. Nachylił się nad uchem blondynki i językiem zwilżył nagle wyschnięte wargi.

– Bree – wyszeptał niskim głosem. – Obudź się, skarbie – dodał, gdy nie uzyskał żadnej odpowiedzi.

Dziewczyna poruszyła się powoli. Uchyliła powieki, cmokając cicho. Gdy tylko dojrzała sąsiada, podskoczyła gwałtownie.

– Jestem aż tak straszny? – zaśmiał się cicho, jednak w jego głosie dosłyszała coś tajemniczego. Coś prawdziwie przerażającego, czemu nie powinna ufać.

– Co pan... Co tu robisz? – Potarła oczy, by w tym samym momencie upuścić książkę.

Mężczyzna podniósł ją i ułożył obok zdziwionej dziewczyny. Wciąż kucnął i nie odrywał od niej wzroku.

– Zauważyłem przypadkiem, że zasnęłaś. Trochę niebezpiecznie jest zasypiać na zewnątrz. Szczególnie jeśli jesteś sama w domu – stwierdził poważnie.

– Skąd wiesz, że jestem sama? – Poruszyła się niespokojnie, oddychając nieco szybciej.

– Po prostu. – Wzruszył ramionami i podniósł się leniwie. – Masz ochotę porozmawiać?

– O czym? – pisała cicho, wstając gwałtownie.

– No nie wiem, na przykład o tym. – Wskazał długim palcem na jej uda.

Gdy zorientowała się, o czym mówi zielonooki, momentalnie obciągnęła nogawki szortów, niestety bezskutecznie.

– Dlaczego w ogóle cię to obchodzi? – spytała niepewnie, wymijając powoli Harry'ego i stając przy drzwiach wejściowych. I tym pytaniem trafiła w sedno.

Przesunął powoli językiem po zębach i zbliżył się do Bree. Cofnęła się gwałtownie, wpadając na płaską, drewnianą powierzchnię. Ułożył dłoń na ścianie, tuż przy jej głowie. Był tak blisko. Zbyt blisko. Wpatrywał się szaloną zieleńią swych oczu w jej przerażoną twarz. Podsunęła wyżej książkę, zakrywając szczelnie piersi, oddychała niezwykle szybko, a jej ciało ogarnęły nieprzyjemne, chłodne dreszcze. Ale nie uciekła. Napięte mięśnie chłopaka widoczne były przez opiętą czarną koszulę, gdy palcem wskazującym uniósł jej brodę. Tak, by spojrzeć mu

w oczy. Gdy ich spojrzenia się spotkały, przełknęła ślinę zbyt głośno. Uniósł nieznacznie kącik ust i musnął kciukiem jej dolną wargę.

– Chcę ci pomóc, Bree. Wiem, że tego potrzebujesz. Zaufaj mi – dodał bardzo zachrypniętym i nieco przerażającym głosem, nachylając się nad jej uchem.

Dociskała książkę do klatki piersiowej unoszącej się zbyt szybko, a jej ciało przeszywały chłodne dreszcze. Czowała, że atmosfera między nimi gęstnieje. I to wcale nie w sposób, w jaki każda kobieta mogłaby zapragnąć w obecności takiego mężczyzny. Wypełniał ją strach, z którym jednak coraz wyraźniej ścierało się zaciekawienie, jakie wzbudzał ten młody chłopak. Wciąż uciekała wzrokiem, ale jakaś dziwna, niewytłumaczalna siła nie pozwalała jej na długie zignorowanie świdrującego spojrzenia zielonej pary oczu. Po raz kolejny uniósł palcem jej brodę i językiem przejechał po swej dolnej wardze.

– Zaufaj mi. Nie chcę cię skrzywdzić – wyszeptał dziwnym głosem.

Każda choć trochę zdrowo myśląca dziewczyna właśnie w tamtym momencie zrezygnowałaby z dalszego wystawiania na ganku z zupełnie obcym jej człowiekiem. Przeprosiłaby kulturalnie – lub nie – i wsunęła się zwinnie do środka, zamykając zielonookiemu drzwi przed nosem. Ale nie Bree.

– Wejdiesz? – Jej głos, tak aksamitny i niepewny, wdarł się w jego duszę, przyprawiając o przyjemne dreszcze satysfakcji.

– Chętnie. – Skinął głową z delikatnym uśmiechem satysfakcji i błyszczącymi oczami.

Pierwsze kroki do autodestrukcji są niezauważalne. To niepozorne, małe, nic nieznaczające słowa, drobne gesty i spojrzenia. A ta druga osoba już dobrze wie, pragnie, chce więcej i więcej. I dostaje to. Za każdym razem, choć z różnym skutkiem.

\*

Usiadł za szklanym stołem w kuchni, niby tak podobnej, a jednak innej od jego. Leniwie omiatał wzrokiem całe pomieszczenie, siedząc wyprostowany niczym struna, co chwilę przeczesywał palcami opadające na oczy kosmyki włosów. W całym domu było tak cicho, mógłby niemal usłyszeć szybko bijące serce dziewczyny. Denerwowała się, okropnie się denerwowała. I to go bardzo intrygowało. Ile ludzi na świecie, tyle dziwnych upodobań.

– Napijesz się czegoś? – spytała w końcu, odkładając książkę na blat i przygryzając nerwowo wargę.

– Herbaty – odpowiedział leniwie, przyglądając się blondynce.

Skinęła głową i odwróciła się tyłem, zajmując się przygotowaniem napojów. I choć jej rozum podpowiadał, że zaproszenie chłopca to bardzo zły pomysł, jej ciekawość wygrała.

Uśmiechnął się pod nosem i zerknął na egzemplarz „Małego Księcia” leżący

nieopodal. Przysunął książkę, wzdychając dyskretnie. To przypominało mu czasy dzieciństwa. Gdy siadał z babcią w jej sypialni, wtulał się w jej ciało zawsze pachnące lawendą, a ona mu czytała. Za każdym razem coś innego, ale zawsze wracali do tej konkretnej lektury. Książki, którą obydwójce tak mocno ukochali.

– „Gdy ktoś kocha różę – zaczął powoli, mrużąc oczy i muskając koniuszkiem palca okładkę książki – której jedyny okaz znajduje się na jednej z milionów gwiazd, wystarczy mu na nie spojrzeć, aby być szczęśliwym. Mówi sobie: «Na którejś z nich jest moja róża»”<sup>1</sup>.

Odwróciła się gwałtownie i spojrzała na chłopaka błyszczącymi oczami.

– Czytałeś „Małego Księcia”? – spytała drżącym głosem.

– Tylko głupiec tego nie czytał – odpowiedział leniwie, unosząc kąciki ust.

Obdarzyła go uśmiechem. Pierwszym szczerym uśmiechem, najpiękniejszym i pochłaniającym go bez reszty. Chwyciła w dłonie wielki kubek gorącej herbaty i odwróciła się powoli. Widząc ciemniejące oczy sąsiada, zadrżała. Szybko jednak przywołała się do porządku i ostrożnie zrobiła krok w jego stronę. Poruszył się, a ona się wystraszyła. Niczym spłoszony motyl. Przy nim jej strach był niczym oddychanie dla normalnego człowieka. Jej dłonie drżały zbyt mocno, straciła równowagę i wylała cały napój na swój nadgarstek i podłogę, upuszczając kubek. Naczynie stukło się w drobniutkie kawałeczki, a ona pisnęła.

Harry podniósł się gwałtownie i w ciągu ułamka sekundy znalazł się przy dziewczynie. Pokręcił głową, chwytając jej wciąż drżące ręce.

– Trzeba włożyć pod zimną wodę – szepnął, pociągając ją w stronę kranu. Odkręcił szybko kurek z zimną wodą i kciukiem musnął jej nadgarstek pokryty licznymi bliznami. Pokręcił dyskretnie głową i wsunął jej rękę pod strumień. Syknęła z bólu. Uniosła wzrok, przyglądając się skupionej minie zielonookiego, niezwykle delikatnie masującego miejsce oparzenia. Co chwilę zwilżał usta językiem i mrużył oczy, okazywał jej tyle dziwnej bliskości i czułości, choć wcale nie musiał. Ona wciąż drżała. Nie przez piekący ból, który powracał co kilka sekund, nie przez blizny. Spoglądała na chłopca, nie potrafiąc pozbyć się strachu, a jednocześnie pragnęła pozostać w towarzystwie Harry’ego.

– Boisz się mnie? – spytał.

Uniosła wzrok, spotykając się z jego spojrzeniem i uchyliła usta, ale nie odpowiedziała.

– Bree, boisz się mnie? – ponowił pytanie, przesuwając koniuszkami palców po jej bliznach.

– Czemu tak sądzisz? – szepnęła ledwo słyszalnie.

– Po prostu odpowiedz – poprosił, nachylając się powoli nad jej twarzą.

– T-tak... – wydukała, uciekając wzrokiem.

Wyprostował się i splótł ich palce pod strumieniem zimnej wody. Przygryzła nerwowo wargę, a jej oddech zdecydowanie przyśpieszył. Ten facet pozwalał sobie

na zbyt wiele, a ona nie potrafiła nic z tym zrobić. A może wcale nie chciała protestować.

– Nie skrzywdzę cię. Przysięgam, że nigdy cię nie skrzywdzę. – Jego głos dziwnie zmieniał barwę, przekonywał do siebie. – Nie jestem żadnym psychopata ani mordercą – dodał po chwili nazbyt zniżonym tembrem, jakim zazwyczaj mówią osoby próbujące ukryć coś znaczącego. – Owszem, nie jestem normalny. Ty też nie jesteś. Żaden człowiek nie jest – szeptał, co chwilę bezwiednie przejeżdżając językiem po zębach. – Ale właśnie tak wygląda ten świat. Świat, który kocha krzywdzić. Ale ciebie już nigdy nie skrzywdzi. – Nachylił się nad jej uchem i wydmuchał w nie ciepłe powietrze. – Nie pozwolę, by ktokolwiek skrzywdził moją małą Bree.

– Słucham...? – pisnęła, zatrzymując powietrze w płucach i odsuwając się gwałtownie. Jeszcze nikt nigdy nie nazwał jej „swoją”. Zamiast strachu poczuła nadzieję, ulgę, jeszcze większą i niebezpieczniejszą ciekawość. Jakże naiwne są osoby, które nigdy wcześniej nie zaznały ani grama ciepła i bliskości drugiego człowieka!

Siedzieli razem, rozmawiając. Choć może rozmowa to za duże słowo, bo to on mówił, a ona słuchała. Spijała każde pojedyncze słowo z jego warg. Wczuwała się w jego melodyjny niski głos, kiedy opowiadał o kwiatach. Nie bała się już. Strach opuszczał jej ciało z każdym jego uśmiechem. Pozostając wciąż w bezpiecznej odległości, obserwowała jego ruchy, każdy gest. Przekonywała się do niego jak naiwna łania do z pozoru niewinnego kłusownika. Była jak płochliwy motyl, jak wiecznie przerażony mały ptaszek. Ale stukot jej serca uspokajał się, ona sama czuła się trochę pewniej, zupełnie inaczej niż dotychczas, i właśnie dlatego pozwalała sobie na zatopienie w tym wspaniale kojącym uczuciu. Bo on okazywał jej zainteresowanie, chciał z nią rozmawiać, chciał z nią przebywać. I nie był natrętnym, ciekawskim człowiekiem, który wciąż pytał o jej blizny, o przyczynę ich powstania. Wydawał się zwykłym, sympatycznym sąsiadem, który po prostu chciał poznać kogoś zblizzonego wiekiem. Na idealnym osiedlu mało było takich ludzi.

Zmęczona, ułożyła głowę na oparciu kanapy. Jej powieki zamykały się co chwilę, choć nie chciała usypiać. Miała ochotę nieustannie słuchać jego opowieści. Ale on zauważył jej zmęczenie. Uśmiechnął się pod nosem, przerywając historię. Podniósł się leniwie z kanapy, odprowadzany spojrzeniem pary niebieskich oczu.

– Powinienem już iść. – Zbliżył się powoli do usypiającej już blondynki. – Śpij dobrze, Bree – wyszeptał niezwykle delikatnym głosem i koniuszkami palców musnął jej ciepłe policzki.

Gdy znalazł się przy drzwiach, odwrócił się jeszcze na moment. Po raz ostatni zlustrował postać drzemiącej dziewczyny. Jego oczy pociemniały, jego ciało ogarnęły dreszcze. Dostając jej zaufanie, chciał więcej. Potrzebował czegoś

więcej, czując nienasycenie. Pragnienie, które nigdy nie miało być w pełni zaspokojone.

1 Wszystkie cytaty pochodzą z „Małego Księcia” A. Saint-Exupéry’ego, w przekładzie J. Szwykowskiego, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1992.



## Rozdział 6

Samotność wydaje się niezwykle piękna, choć częściej traktowana jest jak przerażająca wizja przyszłości. Gdy człowiek zostaje sam ze sobą, gdy poznaje prawdziwego siebie, może się przerazić. Paradoksalnie bardziej niż drugiego człowieka. Bo do siedzącego samotnie w wielkim, pustym domu przychodzą różne demony, czarne myśli, złe szeptaki i strach. Niewytłumaczalny strach przed życiem. Przed zawiedzeniem świata, który – jak sobie wmawiamy – i tak nas nie obchodzi. Gdy człowiek jest sam ze sobą, musi być szczery. Przecież nie da się oszukać samego siebie. I gdy tak rozmyśla o wszystkim, co spotkało go w życiu, o tych złych i dobrych rzeczach, jest prawdziwy przed samym sobą i zaczyna bać się coraz bardziej, niepokonywanie. Strach ten potrafi sparaliżować, złamać nas, pociągnąć na samo dno, z którego najczęściej nie ma już ucieczki.

I gdy człowiek tak cierpi, opętany demonami słabości, na jego drodze ktoś się pojawia. Ktoś inny, a jednocześnie tak bardzo podobny. Ktoś, kogo lęka się o wiele gorsze, ogromne, czasem przerośnięte. Demony już dawno opętały wszystkie myśli Harry'ego, zawładnęły jego umysłem i ciałem i przybrały maskę niewinnego anioła w ciele silnego mężczyzny. Tworzyły aurę tajemniczości, nęciły i przyciągały każdą zagubioną duszę.

\*

Uchyliła powoli powieki i poczuła ból w plecach. Całą noc spędziła na kanapie. Podniosła się do pozycji siedzącej, a z jej ciała na podłogę spadł koc. Uśmiechnęła się pod nosem. Harry przed wyjściem musiał ją okryć. I już tak małym gestem zdobył część jej zaufania.

Leniwie, bosko wkroczyła do kuchni i od razu skierowała się w stronę szuflady. Chwyciła w dłonie odpowiednie pudełko, wsunęła do ust odpowiednie tabletki. A kiedy odwróciła się, opierając plecami o szafki, dojrzała coś niezwykłego.

Na szklanym blacie stołu leżał jej egzemplarz „Małego Księcia” – otwarty. Konkretna strona zaznaczona była białym pączkiem róży. Bree założyła kosmyk włosów za ucho i podeszła powoli do książki. Przesunęła delikatnie mały pączek i zauważyła niezwykle dokładnie zaznaczony fragment, a zaraz obok dopisek pochyłym charakterem pisma.

*To mój ulubiony cytat. H.*

„Jesteście piękne, lecz puste – dodał jeszcze. – Nie można za was umrzeć. Oczywiście zwykły przechodzień uznałby, że moja róża jest do was podobna. Ale ona jest ważniejsza od was wszystkich, bo to właśnie ją podlewam. Bo właśnie ją

przykrywam kloszem. Ją zasłaniam parawanem. Dla niej zabijałem gąsienice (z wyjątkiem dwóch lub trzech, z których miały powstać motyle). Bo właśnie jej słuchałem, gdy się żaliła, przechwalała, a nawet gdy milczała. Bo to jest moja róża”.

\*

Światło księżycy wpadało do pokoju, okalając i eksponując jej chude ciało. Wpatrywała się w swoje odbicie, przesuwając wzrokiem po każdej niedoskonałości. Walczyła ze sobą, walczyła z odruchem nakazującym jej wizytę w łazience. Chciała choć trochę zapanować nad swoimi demonami. Ale nie potrafiła, znów przegrała walkę. Nie pierwszy raz i mogłoby się wydawać – nie ostatni.

Wytarła zapłakaną twarz wierzchem dłoni i oblizała wargi, czując pod językiem słony smak łez. Westchnęła głęboko i podeszła wolno do okna, jeszcze wolniej uchylając żaluzję. Nie zawiodła się, w oknie dojrzała swego sąsiada, a jej serce zabiło mocniej. Z jakichś powodów jego widok poprawił odrobinę nastrój, w jakim była w tamtym momencie.

Napiął mięśnie i odgarnął kosmyki z oczu. Nie mrugał, nie poruszał się. Jedyne analizował dokładnie każdy jej ruch. Skupiał swój wzrok, jak gdyby chciał z tak dużej odległości spojrzeć w jej oczy, zapoznać wszystkie swoje demony z jej demonami. Połączyć ich światy żelaznym sznurem zaufania i troski. Już na zawsze.

Przyglądała się mu i choć dzieliła ich znacząca odległość, widziała, że nie mruga. Widziała, że stoi wyprostowany niczym struna. Nabrała powietrza, przygryzła lekko wargę i uniosła dłoń. Nie poruszyła nią ani przez moment. Bardzo długo musiała czekać na reakcję, ale w końcu odwzajemnił jej gest. Uniósł swą wielką dłoń, a jego usta utworzyły linię prostą. On również nie pomachał, zamiast tego ułożył drugą rękę na aparacie umieszczonym na statywie i nacisnął odpowiedni guzik.

\*

Obsesja karmiona nieustannie rośnie, powiększa się z każdym gestem. Nawet tym najmniejszym i z pozoru mało znaczącym. Nabiera kolorów, uczy się duszy tej drugiej, wyjątkowej osoby. Cały świat, choć tak idealnie zaplanowany, musi zacząć się sypać. Przecież żaden człowiek nie może stać się naszą własnością, choćbyśmy bardzo tego chcieli. Żyje tak, jak chce i nie mamy nad tym kontroli. I właśnie to irytowało zielonookiego właściciela róż. To denerwowało go najbardziej. Bo nie miał nad nią kontroli. Nie chciał jej skrzywdzić, jej łzy były ostatnią rzeczą, jakiej pragnął. Najchętniej zamknąłby zagubioną blondynkę pod kloszem. Doglądał jej, karmił i dbał o nią. Pieścił, prawił komplementy i podziwiał. Jak najpiękniejszy kwiat.

## Rozdział 7

Internet i wszelkiego rodzaju elektronika to nieodłączni towarzysze naszych czasów. Uzależniają, czasami stają się nawet częścią nas. Ale z założenia są narzędziami, które mają przecież ułatwić nam życie, przynajmniej powinny je ułatwiać. Niektórym jednak je utrudniają, niszczą, burzą.

Bree bardzo rzadko korzystała z internetu, ale tego dnia coś ją tknęło i postanowiła zajrzeć na forum dotyczące jej szkoły. Przeglądając od niechcienia kolejne posty, przypadkowo trafiła na słowa przepełnione nienawiścią, pozbawione jakichkolwiek skrupułów, napisane z taką łatwością. Znalazła skarbnicę wiedzy, miejsce, gdzie ludzie pisali niestworzone rzeczy – również o niej. Zdania, których nigdy nie wypowiedzieli i nie wypowiedzą prosto w twarz, bo przecież kilobajty dodają odwagi. Dają innym szansę na ukazanie swej złej, podłej strony. Dlaczego? Bez żadnego powodu. Choć znalazłby się jeden powód: poczucie pewnego spełnienia, podniesienie samooceny poprzez ranienie innych. Cóż to za świat, w którym o naszym statusie szanowanego i lubianego decydują pomyje wylane na zupełnie niewinną i zagubioną osobę? Na kogoś, kto tak bardzo wstydzi się innych, że nie jest w stanie się nawet odezwać?

Okrucieństwo słów wyczytanych w internecie skruszyło serce i tak już załamanej Bree. A do tego obojętność jej rodziców i ich niezdrowa pewność, że pieniądze wynagrodzą wszystko, kiedy nie ma się czasu dla własnego dziecka; przekonanie, że nastoletnia córka wcale nie potrzebuje bliskości, ciepła, zainteresowania; zbyt duża wiara w moc pieniądza, zapewnienie najlepszej edukacji i luksusowego miejsca zamieszkania. Czasem wystarczy jedynie kilka słów, by przeważyć szalę i popchnąć zdezorientowaną dziewczynę w paszczę lwa.

Bo kiedy nie otrzymuje się od rodziny wsparcia i pocieszenia, szuka się ich u kogoś najmniej do tego odpowiedniego, kto choć przez sekundę okazał odrobinę zainteresowania i troski. A Harry okazał tego w nadmiarze, właśnie tak zdobywając jej zaufanie i będąc pierwszym, o którym pomyślała, gdy wybiegła zapłakana z domu.

Ocierając słone łzy spływające bez końca po jej chudych, zaróżowionych od złości policzkach, przebiegła szybko na drugą stronę ulicy. Nie obejrzała się ani na moment. Jakaś dziwna siła ciągnęła ją do domu naprzeciwko. Bo już dawno nie czuła w sobie takiej pewności zmieszanej z desperacją i bezsilnością. Wbiegła na ganek i drżącą dłonią zastukała w drewniane drzwi. Co chwilę pociągała nosem i ocierała łzy, oddychała w nienaturalnie szybkim tempie. Jej myśli szalały, żadna nie potrafiła złożyć się w sensowną całość. Sama nawet tego nie chciała, nie miała ochoty myśleć, analizować. Po raz pierwszy w życiu postanowiła podążyć za głosem stęsknionego serca.

Harry otworzył i kiedy stanął w pełnej okazałości, dziewczyna rzuciła się

w jego ramiona. Chudymi rękoma objęła go w pasie i wtuliła twarz w jego czarną koszulę. Znowu pozwoliła sobie dać upust wszystkim emocjom. Łkała głośno, zaciskając powieki i mocniej obejmując jego napięte ciało.

Jeszcze chyba nikt nigdy tak go nie zdziwił. Tak bardzo pozytywnie, tak jak sobie wymarzył. Dokładnie tak. Coś w jego zimnym na pozór sercu nie posiadało się z radości. Objął wątłe ciało blondynki i cofnął się powoli. Zamykając skrzypiące drzwi, uśmiechał się. W najbardziej przerażający sposób. Wygrał, a ona nakarmiła nareszcie jego demony.

Posadził ją na kanapie, wytarł dokładnie wilgotne policzki i pogładził rozczochrane włosy. Bree przeszywała go zaszklonymi i czerwonymi oczami. Nie pytał, nie odczuwał takiej potrzeby. Postanowił poczekać, aż sama mu opowie, co się stało. Świetnie wiedział jak zdobywać zaufanie. Wiedział to nazbyt dobrze. Pociągnęła nosem i zadrzała, dopiero w tamtym momencie dotarło do niej, co właściwie zrobiła, gdzie uciekła i w czyje oczy właśnie spogląda. Odsunęła się gwałtownie, a jej oddech przyspieszył.

– Skarbie, już ci coś mówiłem. Nie bój się mnie – szepnął spokojnym, niezwykle delikatnym głosem.

– Nie boję się – rzuciła zbyt szybko.

Uśmiechnął się słabo i przechylił głowę w bok, nie dowierzając dziewczynie.

– Przepraszam. Nie powinnam cię nachodzić – kontynuowała, czując coraz większe zażenowanie.

– Przestań. Nic się przecież nie stało – odpowiedział.

– Ale chyba w czymś ci przeszkodziłam – stwierdziła ledwo słyszalnie, lustrując postać chłopaka.

To prawda. Harry wybierał się właśnie w odwiedzinach do babci. Właśnie dlatego jego kolorowe i wzorzyste koszule zastąpiła czarna, prosta, a zamiast krótkich spodenek miał na sobie czarne rurki. Zauważyła to, w myślach stwierdzając, że mężczyzna nigdy jeszcze nie wyglądał tak dobrze.

– Nie przeszkodziłaś. Wybierałem się gdzieś, ale to może poczekać. – Nie odrywając wzroku od zakłopotanej dziewczyny, rozpiął powoli dwa pierwsze guziki koszuli. – Masz ochotę na herbatę?

– Tak. – Skinęła głową i spuściła wzrok, wzdychając dyskretnie.

A on okrył jej ramiona kocem. Dopiero gdy znalazł się w kuchni, całkowicie sam, mógł odetchnąć. Oparł duże dłonie o blat i nabierając głęboko powietrza, zacisnął powieki i palce. Jego mięśnie napięły się do granic możliwości. Demony pragnęły mocniej, więcej. A przecież jeszcze nic się nie stało. No właśnie – jeszcze. Bo ta dziewczyna doprowadzała go do szaleństwa, nie robiąc praktycznie nic.

Spędzili w milczeniu prawie trzy godziny, spoglądając na siebie ukradkiem, obdarowując się wzajemnie niepewnym spojrzeniem. W powietrzu wciąż unosił się

ten sam strach, to samo pragnienie z jego strony. Kiedy w pewnym momencie kolorowy koc zsunął się z jej ramion, Harry znalazł się przy dziewczynie w ciągu sekundy, by okryć na powrót jej blade ciało. Gdy to robił, ich twarze niebezpiecznie się zbliżyły; dzieliły je jedynie milimetry. Ona czuła jego oddech, ciepło bijące od jego ciała, jego napięte mięśnie. Przygryzła wargę, kompletnie nie zdając sobie sprawy z tego, jak niebezpieczny gest uczyniła. Zmrużył oczy, uchylając wargi i przysunął się bliżej. Zbyt blisko. Chwycił jej rękę i uniósł nieznacznie, a Bree wstrzymała powietrze, przyglądając się ciemniejącej zieleni jego oczu.

Rozsunął jej palce swoimi, jak gdyby chciał je ze sobą spleść. Przesunął opuszkami po bladej, drżącej skórze wewnętrznej części jej dłoni. To samo zrobił z nadgarstkiem, przysunął się jeszcze bliżej. Tak, że mogła poczuć jego szybko bijące serce na swej klatce piersiowej. Pewnie chwycił jej dłoń i ułożył ją na swoich wargach, przesuwając palcami dziewczyny po swej twarzy. Napinał mięśnie, mrużył oczy, karmił obsesję, beczelnie kusił i napawał się jej zapachem, dotykiem, obecnością. A wszystko to robił bardzo dyskretnie, przy jej niemym przyzwoleniu. Sądziła, że właśnie tak wyglądają troska i zainteresowanie drugą osobą. Podobało jej się zachowanie Harry'ego zaraz po wysłuchaniu jej problemów, jej żalów. Myślała, że to wszystko właśnie tak powinno wyglądać. Gdyby tylko potrafiła czytać w myślach, gdyby tylko potrafiła rozpoznać tańczące w jego oczach iskry, już dawno opuściłaby ten przerażający, skrywający setki tajemnic i niedopowiedzeń dom.

## Rozdział 8

Jedynie niewielka poświata padająca z lampy oświetlała jej twarz. Rysy, które zapamiętywał, których pragnął, w których się zatapiał. Zmrużył oczy, trzymając jej dłoń. Przesuwał opuszkami jej palców po swych wargach, karmiąc się dotykiem jej niewinnej skóry. Jego demony zaczęły rosnać w siłę. Ona drżała, jej serce biło nienaturalnie szybko. Ale nie odsunęła się, nawet się nie poruszyła. Przez zwykłą ciekawość pragnęła wiedzieć, co się wydarzy, do czego Harry będzie zdolny.

– Bree – odezwał się zduszonym głosem, nie otwierając oczu. – Boisz się mnie? – po raz kolejny spytał o to samo.

– Nie – szepnęła, nie chcąc zakłócać ciszy.

– Udowodnij to – rzucił stanowczym, aczkolwiek cichym głosem. Puścił jej dłoń i nie otwierając powiek, czekał. Czekał na jej ruch.

A ona dała mu więcej, niż oczekiwał, więcej niż sama sądziła. Przełknęła ślinę i przysuwając się nieco bliżej, przejechała koniuszkami palców po jego gorącej skórze. Muskała policzki, nos i brodę. A kiedy dotarła do warg, jego świat zatrzęsł się w posadach. I to był moment, w którym rzeczywiście przestała się bać swego sąsiada. To był moment, w którym dotykanie jego twarzy stało się czymś zupełnie normalnym, czymś przyjemnym. Przesunęła kciukiem po drżących, malinowych ustach. On otworzył gwałtownie oczy i przeszył ją wzrokiem. Cholernie przerażającym wzrokiem. Piękną zieleń zastąpiła demoniczna czerń. Stała na równe nogi, wyprostował się i ku jej zaskoczeniu powiedział:

– Zrobię herbaty. – I szybkim krokiem skierował się do kuchni.

– Harry – szepnęła, obserwując chłopaka ze zdziwieniem. Odwrócił się powoli, zaciskając pięści. Zbyt mocno podobał mu się sposób, w jaki wymawiała jego imię. – Czy zrobiłam coś nie tak?

– Nie, skarbie – odpowiedział krótko, nabrał głęboko powietrza, przybrał maskę i szybko zniknął w drugim pomieszczeniu.

\*

Nie każdy z nas potrafi panować nad swoimi emocjami lub reakcjami. Nie każdy opanował tę trudną sztukę, jaką jest zachowywanie pozorów. Ale Harry opanował ją do perfekcji. Choć jego wewnętrzne demony szalały, choć jego skóra paliła, choć oddech był przyśpieszony, on potrafił udawać, że wszystko jest w porządku. Do pewnego momentu, bo niektórych reakcji nie można ukryć. Tego cholernego, niedającego spokoju pragnienia jej, chęci zamknięcia dziewczyny w złotej klatce. Posiadania za wszelką cenę.

Jego obsesja, która rosła z każdą sekundą spędzoną w towarzystwie Bree, karmiona dotykiem i zapachem jej skóry, zaczynała przerażać nawet jego. Nie

chodziło tylko o pragnienie posiadania jej ciała. Nie, to byłoby za proste, zbyt banalne i bezsensowne. Gdyby wyłącznie tego chciał, już dawno by to dostał. To wszystko, jego umysł, jego demony – wszystko było zbyt złożone, by wrzucić odczucia chłopaka do szuflady seksualnej obsesji.

Stał wyprostowany, napięty, podniecony jej bliskością, całkowicie nienasycony. Uśmiech na jego twarzy pojawiał się i znikał. Oparty o białą ścianę kuchni, wpatrywał się w czajnik elektryczny i czekał. Omiatał wzrokiem pomieszczenie, układał w głowie plany, cieszył się jak dziecko ze swych wyobrażeń. Jednak jeszcze bardziej cieszył się z jej obecności w drugim pokoju. Nie mógł i nigdy nie wybaczyłby sobie, gdyby nie skorzystał z tak wspaniałej okazji. Bo ona sama podała mu się jak na tacy. Ze swoją niewinnością i przekonaniem, że on jest jej jedynym ratunkiem. I to poniekąd była prawda. Bolesna prawda.

Na stoliku ustawił duży kubek herbaty i zajął miejsce tuż obok. Dziewczyna spojrzała podejrzliwie na parujący napój, bo zbyt długo robił tę herbatę. Jej lęk znów powrócił.

– No napij się – rzucił, pokazując na kubek. Gdy poruszyła się niespokojnie z niepewną miną, zaśmiał się. – Nie bój się, niczego tam nie dosypałem.

I kiedy ona upijała łyk gorącej herbaty, on chwycił aparat. Bree uniosła wzrok, spoglądając na młodego mężczyznę ze zdziwieniem. Ten uśmiechnął się delikatnie, musnął wierzchem dłoni jej policzek i przysunął aparat do swej twarzy.

– Co robisz? – spytała nerwowo, wstrzymując oddech i zaciskając palce na trzymanym kubku.

– Nic takiego, skarbie – odpowiedział równie cicho, założył kosmyk jej włosów za ucho i nacisnął guzik, utrwalając jej piękną twarz. Jego pragnieniem było utrwalenie wszystkiego, co związane było z Bree. Każdego jej ruchu, każdego spojrzenia, każdego małego gestu. Wszystko zatrzymywał w czasie. Na potem, na zawsze, na wszelki wypadek.

\*

Zabrała jego serce i pochłonęła duszę.

Sypialnię okalało jedynie nikłe światelko kolorowej lampki. Ich dwoje na jego wielkim łóżku i niezwykła atmosfera pomiędzy nimi – zaciekawionymi sobą młodymi ludźmi. Jeszcze nigdy Bree nie znalazła się w takiej sytuacji i jeszcze nikt nigdy nie dotykał jej w taki sposób, w jaki robił to Harry. Powoli, dokładnie muskał opuszkami palców jej skórę. Podążał wzrokiem za swą dłonią, błędził po jej ramionach, po jej policzkach. Nie zamierzał posuwać się dalej, nie chciał jej nagości ani tych błahych, ludzkich uniesień.

Przysunął się bliżej, obserwując jej drżące wargi. Uśmiechał się, jednak

uśmiech ten nie należał do tych pięknych, tych sympatycznych, tych przyjacielskich. Jego uśmiech był wyrazem wewnętrznego demona. Diabła, który w końcu dostaje coś więcej. Coś, o czym marzył jedynie w najciemniejszych zakamarkach siebie samego.

Bardzo powoli przejechał językiem po górnej wardze, dokładnie tak, jak to miał w zwyczaju. Chwyciwszy w palce kosmyki jej włosów, muskał je, przesuwając pomiędzy palcami, podziwiał. Jego oczy ciemniały z każdą sekundą, a ona wciąż drżała. Mimo wszystko świetnie wiedziała, że tego chce. Ułożył ją na plecach i oparł dłonie obok jej głowy. Lustrował jej zdenerwowaną twarz i drżące usta, których pragnął w tamtym momencie jak niczego innego na świecie.

– Wydajesz się taka krucha. Idealna – zaczął zduszonym głosem, nachylając się powoli nad jej twarzą. – Jesteś wszystkim, czego tak zachłannie pragnąłem przez całe swoje życie – dodał szeptem do jej rozchylonych ust. Zaraz potem ułożył swe wargi na jej i poruszył nimi. Z początku niezwykle leniwie, rozkoszując się chwilą, która jednak zaraz zamieniła się w moment prawdziwej ekstazy. Całował ją coraz pewniej, zachłanniej. Naruszał niewinność jej warg, napierając na nie coraz natarczywiej. Smakował ją z utęsknieniem, a ona wyraźnie czuła, że jego mięśnie napinają się do granic możliwości.

Najbardziej nęcąca była niewinność jej ciała. Nieskalane niczymi dłońmi piękne kształty. Poczul w sercu dumę i zaszczyt. Bo to on, swymi gorącymi ustami, scałuje całą tę niewinność.

Przez jeden gest, jeden ruch, odebrała jego serce i jego duszę. Wewnętrzne demony Harry'ego szalały, gdy słyszał jej cichutki, nieśmiały jęk. Do największej ekstazy doprowadzał go dźwięk jego imienia, wypowiedanego przez nią w tamtym momencie. Tak idealny, tak czysty i aksamitny, przepełniony słyszalną przyjemnością.

W pewnym momencie jego demony przejęły nad nim kontrolę. Dał się opętać jej bliskością i posłuchał głosów w swojej głowie. Jego oczy stały się czarne. To nie on, a jego diabeł kierował wszystkim, co robił. To już nie był Harry. Nie ten, za którego go miała.



## Rozdział 9

Obudził się zlany potem, z napiętymi do granic możliwości mięśniami i jednym obrazem w głowie. Podniósł się do pozycji siedzącej, a jego oddech wciąż był przyśpieszony i urywany. To był sen. Jedynie sen, który podkreślił mroczność jego serca i nieokiełznane tęsknoty. Zsunął długie nogi z wysokiego łóżka, potarł twarz i wolnym krokiem skierował się do łazienki. Wszystko, czego potrzebował w tamtej chwili, to bardzo zimny prysznic. Stał pod chłodnym strumieniem i przeczesując dłońmi mokre już włosy, odchylił głowę do tyłu i zmrużył oczy.

Tego poranka, po raz pierwszy w całym swoim życiu, przeraził się sam siebie. Przestraszył się pragnień, które kryły się gdzieś na dnie podświadomości. Każda lodowata kropla ochładzała jego rozgrzane ciało, przeszywając go na wskroś. Jego dawno postradany rozum nie bronił się już tak, jak kiedyś, a jego serce podpowiadało najgorsze scenariusze.

Opuścił łazienkę z oczyszczoną duszą i ciałem. Mimo to nie potrafił i nie chciał pozbyć się obrazu bladego ciała blondynki. Pod opuszkami wciąż czuł dotyk jej skóry, choć przecież był to jedynie sen. Na ustach wciąż czuł smak jej niewinności, choć przecież jeszcze jej nie poznał. Jeszcze.

Kolejne samotne śniadanie i kolejna samotna kawa, w całkowitej ciszy. Choć to tylko pozory, bo w głowie przez cały czas słyszał jeden głos. Głos niedający za wygraną. Lubił go słuchać. Musiał to polubić, nie miał przecież wyboru. Nie potrafił już sprzeciwić się tej gorszej, bardziej przerażającej naturze.

Kolejny dzień oznaczał kolejne godziny spędzone na pracy w ogrodzie, niezwykle zadbanym i perfekcyjnym. Podcinał krzewy, pielęgnował i układał ich liście, wachał i muskał koniuszkami palców pączki czerwonych róż. Swoją ulubioną białą kwiat zostawiał zawsze na koniec. By móc cieszyć się z każdej spędzonej przy nim sekundy. By móc odpowiednio zadbać o białe płatki róży. Zadbać tak, jak chciałby dbać o Bree.

Kiedy skończył pracę w ogrodzie, postanowił wybrać się w zaległe odwiedzin. Stał przed małym łazienkowym lustrem. Przejeżdżając koniuszkiem języka po dolnej wardze, zapinał powoli kolejne guziki czarnej koszuli. Przeczesał włosy, poprawił wisiołek i po raz ostatni zerknął na swoje odbicie.

Gdy znalazł się przed domem, zerwał dwadzieścia dziewięć czerwonych róż, skomponował z nich duży bukiet i ułożył na ramieniu. Opuścił podjazd i rozejrzał się; nie widział jej od rana i zaczął się niepokoić. Ruszył przed siebie.

Dziesięć minut później dotarł na miejsce. Zatrzymał się i odetchnął. Przesunął koniuszkami palców po płatkach czerwonych róż i nachylił się, układając je ostrożnie na czarnej płycie pomnika. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji. Nic prócz skupienia przy układaniu kwiatów, odcinaniu niepotrzebnych listków i przysuwaniu bukietu do płyty z nazwiskiem. Uniósł wzrok i przejechał dłonią po

płaskiej powierzchni z napisem „Georgia Sore”.

– Dzień dobry, babciu – szepnęła, siadając na równie czarnej co pomnik ławeczce, i uśmiechnęła się promiennie.

Ciemne chmury zebrały się nad miejskim cmentarzem, przysłaniając prażące słońce i dodając uroku odwiedzinom Harry’ego. I on, i babcia Sore uwielbiali deszcz. Zawsze wtedy wychodzili z domu i przechadzali się w ciepłych kroplach. Każdy skrawek tego okrutnego świata przypominał zielonookiemu o pięknych chwilach spędzonych z jedyną osobą, która świetnie wiedziała, co on czuje i co mówią jego wewnętrzne demony. Sama przecież przeżywała dokładnie to samo przez niemal dziewięćdziesiąt lat.

\*

Wyjątkowo chłodny wieczór spędzał w swej sypialni, sprzątając pokój, choć i tak był idealnie wysprzątanym. Ale musiał być bardziej. Gdyby tego nie zrobił, czułby się bardzo źle, odezwałyby się wszystkie jego uśpione natręctwa. Gdy układał kolorami książki na półce przy oknie, wyjrzał na zewnątrz. Jego serce zabiło mocniej, a mięśnie napięły się znacząco.

Bree siedziała na parapecie z podkulonymi nogami i wpatrywała się tępo w swoje nadgarstki, a jasne kosmyki włosów opadały na jej oczy. Zakrywały smutną twarz. Może i była daleko, ale on świetnie wiedział, że się nie uśmiecha. Poczul dziwne ukłucie w sercu, gdy paznokciami przejechała po udach, później ponownie po nadgarstkach. Odłożył wszystko, co trzymał, i podszedł bliżej okna. W duchu miał nadzieję, że choć raz odwróci wzrok, że spojrzy na niego, może nawet pokusi się na pomachanie? Ale nie spojrzała. Ani w tamtym momencie, ani później.

Przyglądał się ruchom dziewczyny w skupieniu. Nagle w jej dłoniach pojawił się mały scyzoryk. Ostrzem przesuwająca po nadgarstkach, a po jej policzkach spływały łzy. Nie wytrzymał, nie mógł pozwolić, by to zrobiła. Odwrócił się gwałtownie i wybiegł z pokoju. Przecież miał ją chronić. Nawet przed samą sobą.

Przebiegł na drugą stronę ulicy i energicznie zapukał do masywnych drewnianych drzwi. Kilka zbyt długich sekund później otworzyła mu kobieta w średnim wieku, niezwykle piękna i zadbana. Już wiedział, po kim Bree odziedziczyła urodę.

– Dzień dobry – rzucił pośpiesznie niskim głosem, co zupełnie do niego nie pasowało.

– Dzień dobry. Czego pan chce? – spytała kobieta dalekim od miłego tonem.

– Jestem państwa sąsiadem i przyjacielem Bree – odpowiedział powoli i wyraźnie.

Wysoka blondynka wyprostowała się i zlustrowała młodego chłopaka. Na jej

twarzy pojawił się tajemniczy uśmiech.

– I co w związku z tym? – oparła się ramieniem framugę, wciąż obserwując Harry’ego.

– Martwię się o Bree.

– Nie ma się o co martwić. Jest u siebie i uczy się. Nie bardzo ma czas na jakiegokolwiek spotkania.

– Pani naprawdę nie zna swojego dziecka – rzucił z drwiną, przejeżdżając językiem po dolnej wardze.

– Nie pozwala sobie pan na zbyt wiele? – wyprostowała się gwałtownie, łapiąc za klamkę.

– Muszę się z nią zobaczyć. Musimy porozmawiać. To ważne.

– Nie ma takiej możliwości – prychnęła matka dziewczyny, zamykając powoli drzwi.

– Nie obchodzi pani jej los? Jestem dla niej najbliższą osobą – kontynuował coraz bardziej zachrypniętym głosem.

– Powiedziałam: nie. – Zdenerwowana kobieta odsunęła się od drzwi i już chciała je zatrzasknąć, kiedy po raz kolejny usłyszała przerażająco niski głos chłopaka.

– Nalegam... – rzucił, ustawiając stopę pomiędzy drzwiami a framugą.

Kobieta spojrzała na chłopca ostatni raz, westchnęła ciężko i cofnęła się. Wszedł do środka, czując niezwykle intensywną woń ostrych perfum.

– Bree, masz gościa! – krzyknęła matka i wskazała młodemu mężczyźnie schody. – Pierwsze drzwi po lewej. Tylko krótko, Bree ma mnóstwo nauki. – Rzuciła mu dziwne spojrzenie i zniknęła gdzieś w drugim pokoju.

Odetchnął z nieukrywaną ulgą i powoli wszedł na schody. Ten dom był dla niego rajem. Wszystko poustawiane idealnie co do centymetra, we właściwym miejscu, pięknie wysprzątane, drogie. Usłyszawszy dziwny dźwięk upadku czegoś ciężkiego, przyspieszył kroku. Bez pukania wbiegł do jej pokoju. Dojrzał klęczącą nad rozbitym lustrem Bree, zbierającą pozostałe kawałki szkła zakrwawionymi dłońmi. Uniosła wzrok, a jej serce urosło i zabiło szybciej.

– Harry? Co tu robisz? – szepnęła, ocierając policzki wierzchem dłoni i zostawiając ślady krwi.

– Skarbie – rzucił jedynie, podchodząc szybko i upadł na kolana.

Porwał wątle ciało dziewczyny w ramiona i mocno przyciągnął do siebie. Drżała, jej skóra była chłodna. Jego mięśnie napięły się, jego oczy pociemniały, a po głowie rozniósł się przerażający śmiech.

Trzymając w ramionach kruchą, bladą i drżącą istotę, czuł się niczym prawdziwy bohater. Czuł, że ma władzę, że wszystko zależy od niego. Na jej nieszczęście tak właśnie było, choć żadne z nich nie chciało przyznać się do tego na głos. Wsunął nos pomiędzy jej włosy pachnące malinami. Zaciągnął się

owocową wonią, a jego oczy pociemniały. Gdy się odsunęła, poczuł przerażający chłód. Jego uzależnienie rosło w siłę.

Dziewczyna spojrzała na Harry'ego dużymi, wyblakłymi oczami. Chciała się uśmiechnąć, ale nie potrafiła. Wyciągnęła dłoń i musnęła nią jego policzek, pozostawiając na nim ślady krwi. Chwycił jej małą rękę i ucałował opuszki palców. Właśnie wtedy rękaw jej swetra zsunął się nieznacznie, ukazując zupełnie świeże ślady cięć i niewyschniętą do końca strużkę czerwonej cieczy. Chłopak wyprostował się gwałtownie i spojrzał na dziewczynę znacząco. Przygryzła wargę w zakłopotaniu i uciekła wzrokiem.

– Bree – zaczął niskim głosem i podciągnął wyżej jej rękaw. Gdy jego oczom ukazały się blizny, napiął mocniej mięśnie. Spóźnił się, przybył na ratunek o kilka cięć za późno. Nie odezwał się.

Wstał gwałtownie, wtedy po raz pierwszy stracił nad sobą kontrolę. Po raz pierwszy od kilku lat i po raz pierwszy przy niej. Przeklął głośno, zaciskając pięści, i z całej siły walnął w ścianę. Oddychał coraz szybciej. Zaraz potem oparł czoło o płaską powierzchnię i zacisnął szczęki. Jego oczy ciemniały, jego ciało pulsowało z wściekłości. Był na siebie zły. Tak jak jeszcze nigdy. Zawiódł i nie zdążył, a przecież jego nowym i jedynym celem życiowym stało się chronienie zagubionej istoty.

Bree znów zaczęła się bać. Czowała niepewność w towarzystwie młodego mężczyzny. Nigdy nie widziała u nikogo tak ogromnej wściekłości. Nie mogła uwierzyć, że to przez nią, bo nie sądziła, że kogokolwiek obchodzi jej los. Swym wybuchem Harry udowodnił i rozwiął jednak wszelkie jej wątpliwości. Podniosła się powoli i podeszła do chłopaka, niepewnie objęła go chudymi rękoma w pasie i przytuliła się do napiętych i twardych jak skała pleców.

– Harry – wyszeptała cichutko. Poruszył się, jednak nie odezwał. – Przepraszam.

Odwrócił się powoli, a jej twarz znalazła się na wysokości jego torsu. Uniosła wzrok i przeszła mężczyznę błagalnym spojrzeniem.

– Nie rób tego nigdy więcej, proszę. – Odsunął niesforne blond kosmyki z jej czoła i nachylił się, całując jej twarz. Poczuł, jak jego złość powoli ustępuje.

– Mogę cię o coś spytać? – zmrużyła oczy, gdy poczuła wilgotny pocałunek na swej skórze.

– Słucham?

– Dlaczego się o mnie martwisz? – uchyliła powieki, natrafiając na przenikliwe spojrzenie chłopaka, którego oczy na nowo przybierały odcień czystej zieleni.

– Już ci tłumaczyłem – rzekł niezwykle spokojnym i ciepłym głosem. – Martwię się o ciebie, bo wiem, co przeżywasz. Wiem, że do tej pory byłaś z tym wszystkim sama. Ale już nie jesteś. Już nigdy więcej nie pozwolę, byś poczuła się

samotna. – Ujął jej twarz w dłonie i musnął kciukami blade policzki.

– Ale dlaczego...

Nie pozwolił jej dokończyć, kładąc palec na wargach dziewczyny. Uśmiechnął się niezwykle pięknie. Ciepło nieznanego pochodzenia ogarnęło jej drżące serce. I choć powinna dopytywać, wcale tego nie chciała. Bo to, co robił w tamtym momencie, zdecydowanie jej wystarczyło, choć okolone było aurą niebezpieczeństwa, jakie „normalna” osoba powinna już dawno wyczuć.

\*

Zdobyć zaufanie, robić wszystkie te zwyczajne, uznawane przez społeczeństwo czynności. Kraść spojrzenia, oddawać uśmiechy. Rzucić zapewnienia, które wcale nie są kłamstwami. Zabrać na spacer po łąkach i czekać na jej pierwszy od dawna uśmiech, opowiadać o kwiatach, o owadach, o wszystkim tym, na czym się zna. Wciąż żyć pozorami, dotykać niewinnie jej dłoni. Udawać równie zagubionego, aczkolwiek przejętego jej losem. Tego świat oczekiwał od Harry’ego.

Wszystko, co robił on, robił z pewnego rodzaju przemyśleniem. Może nie odhaczał poszczególnych punktów na swej liście ułożonej w głowie, jednak świetnie wiedział, co robi, jak robi i dlaczego to robi. Widział, że ona mu ufa. Widział, że pokłada w nim nadzieje samotnego serca. Cieszył się z każdej sekundy spędzonej razem. Wcale nie był bezwzględny psychopata, bo nigdy przecież nie był bezwzględny.

Kiedyś, bardzo dawno temu, brał tabletki. Psychotropy, które pomagały mu w normalnym egzystowaniu. Nie potrafił jednak długo wytrzymać, zmuszony co dzień karmić się dziesiątkami małych kapsułek. To zdecydowanie nie było dla niego. Właśnie dlatego opuścił rodziców, przejął dom, który i tak dostał w spadku, zamieszkał sam i nareszcie żył na własną rękę. Sam ze swymi demonami, z którymi się zaprzyjaźnił. To była bardzo trudna droga, jednak dokonał tego. I właśnie to uczyniło z niego bardzo niebezpieczną osobę. Bo przestał się bronić, zawarł pakt z diabłem. I stwarzając pozory, nareszcie zaczął żyć, nie egzystować. Po swojemu, z dala od wścibskich spojrzeń czy denerwujących pytań swojego psychiatry.

Znalazł prawdziwie niezwykły środek na szczęście. Czymże jest jedna tabletką, która daje radość i ulgę, w porównaniu z setką psychotropów, które jedynie stwarzały pozory szczęścia? Ponieważ nigdy nie był podatny na uzależnienia od jakichkolwiek środków, jego przygoda z tym lekiem skończyła się szybko. Ale tego dnia, kiedy spacerował z Bree po polanach, zbierając kwiaty i plotąc z nich wianki, przypomniał sobie o recepcie na powierzchowny spokój duszy. Przypomniał sobie o środku, który tak bardzo mu pomógł. A ponieważ świetnie wiedział o demonach młodziutkiej blondynki, postanowił pomóc jej

jeszcze bardziej. Nie zdawał sobie jednak sprawy z faktu, jakie skutki będzie nieść za sobą jego propozycja: prozac, biało-zielona tabletką szczęścia jako środek przeciwbólowy. Uzależniająca kapsułka z efektem placebo.

## Rozdział 10

Co zrobi człowiek, by znowu lub po raz pierwszy w życiu poczuć się szczęśliwym? Każdy z nas poszukuje najlepszej odpowiedzi, pojedynczych puzzli pasujących do reszty układanki, fragmentu życia, który da to, czego oczekujemy. Da nam satysfakcję i to przyjemne uczucie w środku, kiedy spełniają się nasze plany. Niektórzy ludzie poszukują szczęścia zachłannie, paranoicznie, przeszukując każdy fragment życia i nie zauważając przy tym, że to te najmniejsze szczęścia tworzą te większe. Są zbyt zabiegani, zbyt zajęci czymś większym, piękniejszym, droższym. Zawsze czymś bardziej.

Czasem jednak zdarzają się ludzie tak bardzo zagubieni, że sami nie wiedzą, czego szukają. Nie przypuszczają, że jedynym, co mogłoby im pomóc, jest odnalezienie siebie. Nie mają wyobrażenia o szczęściu, jego wyglądzie, ale wciąż czują w głębi serca, że potrzebują ulgi. Czegoś, co nareszcie da im odetchnąć pełną piersią, swobodnie.

Bree podświadomie i bardzo zachłannie szukała czegoś lub kogoś, kto mógłby jej w tym pomóc. Odnalazła więcej, niż się spodziewała.

\*

Usadził ją na wysokim łóżku w swojej sypialni. Obserwowała każdy jego ruch, każde leniwe zwilżenie warg czy odrzucenie włosów. Nie bała się, choć powinna uciekać. Była ciekawa, choć nigdy nie powinna pozwolić na wkroczenie tego zielonookiego chłopaka w jej życie.

Z nocnej szafki wyjął kolorowe pudełko, po czym usiadł naprzeciwko zaciekawionej, lekko zestresowanej blondynki i uśmiechnął się. Fałszywie, acz przepięknie. Odwzajemniła uśmiech, jednak z jej strony był on pełen szczerości i ulgi.

– Musisz mi coś obiecać, Bree – odezwał się Harry, łamiąc ciszę panującą w pomieszczeniu.

– Co takiego?

– Pozbędziesz się wszystkich tabletek, które brałaś do tej pory. – Jego wzrok przeszył dziewczynę na wskroś i przyprawił o dreszcze.

– Ale Harry, ja nie mogę...

Położył swój długi palec na jej wargach i przysunął się.

– Chcesz, by to naprawdę pomogło? – gdy pokiwała powoli głową, dodał: – Więc zaufaj mi i nie bierz już żadnych świństw. Obiecuję, że to – uniósł w górę pudełko i pomachał nim leniwie – jest jedyne lekarstwo, którego potrzebujesz. – Rozchyliła usta, jednak znów nie pozwolił jej się odezwać. – To i... ja. Nie musisz się niczego bać, gdy jestem obok – wyszeptał do jej ucha niskim i zachrypniętym głosem.

Jej skórę przeszyły dreszcze, ogarnęło przedziwne ciepło. Zmrużyła oczy i przez kilka sekund delectowała się dźwiękiem jego głosu i drzeniem własnego ciała.

– Dobrze. Zgadzam się – rzuciła piskliwie, po czym chrząknęła i lekko potrząsając głową, spojrzała na chłopaka, zatrzymując powietrze w płucach.

Wyprostował się leniwie, a jego twarz nie wyrażała nic prócz satysfakcji. Skupiając się na trzymanym pudełku, wyciągnął z niego jedną z wielu tabletek. Bree obserwowała go przez cały czas, a jej wewnętrzne demony cieszyły się na nieznane. Kiedy tylko uspiła swój strach, obudziła diabły, które dyskretnie od zawsze kierowały jej życiem.

Biało-zielona tabletką spoczywała na jego dużej dłoni, a dziewczyna spoglądała na niego niecierpliwie. Przesunął językiem po dolnej wardze, uśmiechnął się dziwnie i przysunął do Bree. Wodził wzrokiem po jej bladej twarzy, po drżących, lekko rozchylonych wargach. Specjalnie przeciągał ten moment.

Poruszyła się niespokojnie, zakładając blond kosmyk za ucho. W głowie miała gonitwę myśli i to jedno, tak destrukcyjne uczucie – ciekawość. Chęć lepszego samopoczucia, o jakim cały czas ją zapewniał. „Ochroni mnie przed tym, czego sama pragnę”.

– Otwórz usta – rozkazał cicho, nie odrywając od niej wzroku.

Grzecznie rozchyliła wargi i nieśmiało wysunęła język. Ułożył na nim tabletkę i czułym muśnięciem opuszków zamknął jej usta. Przejechał kciukiem po chłodnej skórze i odsunął się powoli.

– Niedługo znów poczujesz się szczęśliwa. – Jego niski głos rozniósł się po całym pomieszczeniu. Doprawił odczuwane dreszcze i ukoił jej nerwy.

Zmrużyła oczy i połknęła kolorową kapsułkę.

Nie było zastrzyku energii, nie było dziwnych skutków, nie było niczego niepokojącego. Leżała nieruchomo na jego łóżku i wpatrywała się w sufit. Ale coś się zmieniało. Coś w jej głowie, coś w jej oddechu. Doznawała spokoju i tego nieznanego uczucia, gdy ciało wypełnia przyjemna radość. Jednak były to tylko pozory. To jej podświadomość układała w nową całość każdą jej myśl. Przecież na tym świecie nie istnieją żadne magiczne tabletki, które w ciągu kilku minut naprawiłyby nas samych.

On leżał obok, wpatrując się w skupioną, spokojną dziewczynę. Muskając koniuszkami palców jej policzek, karmiąc samego siebie dotykiem jej skóry. Podsycając pragnienie bliskości. Już dawno skończył z psychotropami, ale wciąż jeszcze pamiętał pierwsze wrażenie, które na nim wywarły. Uśmiechał się niewyraźnie, ledwo widocznie.

Nigdy nie chciał jej zguby. W swoim psychopatycznym dążeniu do posiadania jej całej nie chciał jej skrzywdzić. Wręcz przeciwnie. Był inteligentny, cholernie inteligentny. Znał życie, choć ono tak bardzo go raniło. Wiedział prawie



wszystko, nie chwaląc się przy tym swą wiedzą. Nie sądził jednak, że bardzo zagubi jej diabły. Że bardzo uzależni je od siebie. Że bardzo skrzywdzi jej serce. Przecież człowiek nie jest w stanie przewidzieć wszystkiego. Szczególnie człowiek taki, jak on. Niezwykle zagubiony w całej tej walce z najgorszymi demonami.

– Jak się czujesz, skarbie? – wyszeptał, pieszcząc niskim tonem jej umysł.

– Cudownie – szepnęła, unosząc leniwie kąciki ust.

I to była odpowiedź, jakiej oczekiwał. To był znak, że jego misterny plan się powiódł. Teraz będzie chciała do niego wracać, a może nawet zostać. A na tym zależało mu najbardziej. W tamtym momencie stała się zależna od najniebezpieczniejszego mężczyzny pod słońcem. Zależna od człowieka, który posiada jej umysł. Na zawsze i nieodwracalnie.

## Rozdział 11

Słońce powoli kończyło swą zmianę, chowając się niechętnie za horyzont. Wieczory robiły się coraz chłodniejsze, mieszkańcy osiedla coraz rzadziej wychodzili na spacer. Koniec lata zapowiadał zdecydowane zmiany w życiu młodego, specyficznego mężczyzny i zagubionej blondynki, która powoli odnajdywała w nim przyjaciela.

Zażycie biało-zielonej tabletki zaczynało przynosić dziewczynie pewną ulgę, a Harry widział zmiany w jej zachowaniu i postrzeganiu świata, i cieszył się niczym małe dziecko. Nie tylko z jej ulgi, którą widocznie odczuwała. Cieszył się przede wszystkim z jej zachowania, bo z jeszcze większą łatwością mógł zacząć manipulować pijaną z nadmiaru szczęścia dziewczyną.

Spędzali dzień u niego, nie czuli nawet, jak mijają godziny, choć większość czasu siedzieli w milczeniu. Bree uśmiechała się, nie zmieniając pozycji i wpatrując się w sufit. Była odurzona przyjemnym uczuciem, jakie rozlewało się po całym jej wnętrzu. On nie czuł potrzeby, by cokolwiek mówić. Zawsze bowiem wolał przypatrywać się lub słuchać. Postanowił jednak zrobić coś o wiele przyjemniejszego od samego przyglądania się blondynce.

Połączył swoją obsesję z jedną z pasji. Przysunął lustrzaną do twarzy i co chwilę naciskał na spust migawki. Kiedy zbliżał się powoli do dziewczyny, odwróciła głowę i spojrzała prosto w obiektyw. Uwięziła swą pełną wargę pomiędzy zębami, a Harry'ego oblał zimny pot. Wszystkie fantazje i sny z poprzednich nocy wróciły do niego w ciągu sekundy. Odsunął powoli aparat i zlustrował całą postać dziewczyny. Podsycając swe demony, wywabiając te najgorsze z najciemniejszych zakamarków, uśmiechnął się delikatnie.

– Bree – wyszeptał w pewnym momencie.

– Tak?

– Spędź ze mną tę noc – rzucił niezwykle zmysłowym głosem, bawiąc się jej włosami.

Poruszyła się niespokojnie, skupiając spojrzenie na jego błyszczących, ciemniejących powoli tęczęwkach. Milion głosów podpowiadało jej, by się nie zgodzić, by nie dała się nabrać. Ale posłuchała tego jednego cichego pomruku, który zachęcał do nieznanego. Skinęła powoli głową i uniosła kąciki ust.

– Bardzo chętnie, Harry – odezwała się po chwili, akcentując pięknie ostatnie litery jego imienia.

Przyjemne dreszcze ogarnęły jego opalone i rozgrzane już ciało. Potarł kciukiem wargę i podniósł się do pozycji siedzącej.

– Muszę tylko porozmawiać z rodzicami – dodała, wzdychając ciężko. Uświadomiła sobie, że chyba jeszcze nigdy nie prosiła ich o zgodę na tak szaloną – w jej mniemaniu – rzecz i była niezwykle ciekawa ich reakcji.

– Będę czekał – wyszeptał jej do ucha.

\*

–Ale mamó! – Podniosła głos, krzywiąc się na odpowiedź swej rodzicielki.

– Bez dyskusji, Bree. Nie zgadzam się. Ten człowiek jest nieobliczalny, nieodpowiedni dla takiej dziewczyny jak ty. – Kobieta założyła ręce na piersi i spojrzała z wyższością na swą córkę. – Zostajesz w domu. Jesteś za młoda na takie wypadki.

– Mam siedemnaście lat, a on mieszka po drugiej stronie ulicy – stwierdziła dziewczyna z kpina. Chyba po raz pierwszy odezwała się tak do matki.

Kobieta wyprostowała się i spojrzała na córkę ze zdziwieniem. Zaraz potem zacisnęła szczęki i pokręciła przecząco głową.

– Nie i nie zmienię zdania. Nie zbliżaj się do niego. – Jej stanowczy i rozkazujący ton przyprowadził Bree o dreszcze. Jednak nie zamierzała rezygnować z tej małej obietnicy złożonej chłopakowi.

Odczekała grzecznie, aż jej rodzice znajdą się w sypialni i jak co czwartek spełnią swoje małżeńskie obowiązki. Już dawno przyzwyczaiła się do braku dyskrecji z ich strony, a tego wieczoru nareszcie nie musiała się temu przysłuchiwać.

Przebrała się w najpiękniejszą czarną sukienkę, jaką znalazła w szafie. Kilkakrotnie przeglądała się w lustrze, nie czując odruchu wymiotnego. Ułożyła nawet włosy inaczej, niż robiła to dotychczas. Wyjątkowo i pięknie. Bo ten wieczór – czuła to w głębi serca – miał być wyjątkowy.

Uchyliła okno i po raz ostatni spojrzała w stronę drzwi. Odetchnęła głęboko i ostrożnie wyszła na drewnianą drabinkę przeznaczoną dla winorośli, a przysuniętą pod jej okno. W duchu dziękowała za tak świetny pomysł ojca. Ostrożnie stawiając małe stopy na belkach, nareszcie znalazła się na zewnątrz. Po raz ostatni spojrzała w okno. Wszędzie ciemno. Jedyne w sypialni rodziców paliło się nikłe światło. To oznaczało, że miała jeszcze sporo czasu. Uśmiechnęła się do siebie i skierowała w stronę ulicy. Przebiegła na drugą stronę i stanęła pod dębowymi drzwiami. Wzięła kilka głębokich wdechów, poprawiła sukienkę i włosy, po czym nieśmiało zapukała.

Drzwi stanęły otworem, a w progu czekał już Harry. On również postarał się, by wyglądać wyjątkowo. Choć jej zdaniem wcale nie musiał się starać. Czarna, rozpięta do połowy koszula o białych wzorach, zmierzwiłone w artystycznym nieładzie włosy i błysk w oczach. Uśmiechnął się najpiękniej, jak tylko potrafił, i cofnął, wpuszczając blondynkę do środka. Wprost do jaskini swych mrocznych diabłów. Zamknął drzwi powoli, z dziwnym uśmiechem.

– Cieszę się, że twoi rodzice się zgodzili – stwierdził, kiedy oparła się o drzwi, wzdychając z nieukrywaną ulgą.

– Nie zgodzili się. – Wzruszyła ramionami. Gdy spojrzał pytająco, wyznała ledwo słyszalnie: – Uciekłam.

– Uciekłaś? Do mnie? – ze wszystkich sił starał się zabrzmieć zupełnie normalnie, podczas kiedy jego demony szalały z niepokohamowanej radości. Nachylił się nad jej zarumienioną twarzą, chwycił ją w dłonie i przesunął powoli kciukami po policzkach. – Jesteś wyjątkowa – wyszeptał niskim, zachrypniętym i przepełnionym tajemniczością głosem. Przesunął rozgrzanymi dłońmi po jej odkrytych ramionach, a ona zwilżyła koniuszkiem języka dolną wargę i ponownie spojrzała w górę, w jego ciemniejące, mocno błyszczące oczy. – Zapraszam – rzekł leniwie, odsuwając się i wskazując kierunek.

Skinęła ledwo widocznie głową i podążyła we wskazane miejsce. Gdy znalazła się w kuchni, wstrzymała oddech. Jej policzki oblał uroczy rumieniec. Na drewnianym blacie stołu ustawione były dwa talerze, dwa zestawy sztućców i szklanki. Wszystko idealnie równo, a na samym środku stała perfekcyjna, pojedyncza biała róża w małym porcelanowym wazoniku. Po dwóch stronach stołu ujrzała długie, bordowe świece. Wszystko to czekało tylko na nich.

– Harry... – szepnęła, odwracając się powoli. Jej twarz zatrzymała się tuż przy jego torsie. Napiął mięśnie i uśmiechnął się bardzo delikatnie. – Po co to wszystko?

– Chciałem sprawić ci przyjemność. – Wzruszył leniwie ramionami, odsuwając blond kosmyk z jej czoła.

– Ale z jakiej okazji?

– Bez okazji. Nie podoba ci się?

– Dziękuję – rzuciła ledwo słyszalnie, objęła chłopaka w pasie i wtuliła się w jego rozgrzane, napięte ciało. Jeszcze nikt nigdy nie sprawił jej takiej niespodzianki. Gdy objął ją mocno rękoma i wbił lekko paznokcie w jej plecy, bo walczył odważnie z każdym demonem w swojej głowie, poruszyła się niespokojnie, czując ból w łopatkach. Odsunęła głowę i spojrzała na niego, czując pod swymi dłońmi zbyt gorącą i zbyt twardą skórę młodego mężczyzny. – Wszystko w porządku? – spytała głosem przepełnionym troską.

– Oczywiście. – Odsunął się i zaraz potem zaprosił ją do stołu.

Harry miał w sobie mnóstwo ukrytych talentów. Był na przykład znakomitym kucharzem. Nikt jednak nie miał możliwości, by przekonać się o tym, ponieważ nikt nigdy nie chciał zadawać się z takim dziwakiem. Ale wychowanie przez babcię zostawiło ślad w postaci znakomitego przygotowania kulinarnego.

Spokojnym, dokładnym ruchem zapalił świece. Delikatnie wystawiał język. Tym razem to ona przyglądała się każdemu jego ruchowi. Patrzyła, jak mruży oczy, jak marszczy czoło, jak zwilża wargę, jak napina mięśnie. Jak jego oczy błyszczą coraz mocniej, stając się jednocześnie coraz ciemniejsze. Świetnie widziała, że w jego głowie toczy się jakaś poważna batalia. Nie domyślała się

jednak, że to walka o nią. Że to walka ze złymi, bezlitosnymi demonami, które pragną więcej, mocniej, bardziej, boleśniej.

\*

Po smacznej kolacji znaleźli się na kanapie. Harry dopilnował, by towarzyszyła im piękna, spokojna muzyka. Bree zajęła miejsce bardzo blisko niego, bo nie bała się już, a nawet chciała więcej. Jej ciekawość świata i tego człowieka rosła z każdym wymówionym przez niego zdaniem. Skromność i klasa mieszały się w nim z ogromną inteligencją i szarmanckimi gestami. Zachwycał ją wszystkim. Przyglądała mu się i uświadamiała sobie, iż on kryje w sobie o wiele więcej, aniżeli dziwne upodobania, szarmanckość i talent kucharski. Zaczęła spoglądać na Harry'ego jak na niezwykle przystojnego mężczyznę. Tak, jak jeszcze chyba nigdy nie patrzyła na żadnego chłopaka. W żadnej szkole, w której była. W żadnym mieście, w którym mieszkała. I to był kolejny maleńki krok w stronę autodestrukcji. Kolejny ukłon w stronę jego demonów, które świetnie to dostrzegały.

Leniwie odwrócił głowę w stronę dziewczyny, która natychmiast się zarumieniła i uciekła wzrokiem. Uniósł kąciki ust, jego oczy błyszczały, a mięśnie napięły się nieznacznie.

– Zapropowałbym ci coś do picia – zaczął spokojnym głosem, prostując się powoli – ale jesteś za młoda na alkohol.

– Słucham? – uniosła brew z niedowierzaniem, spoglądając na chłopca. Czasem zachowywał się jak jej ojciec. I choć było to dziwne, choć mogło irytować, Bree bardzo się ten fakt podobał. Może dlatego, że nigdy tak naprawdę nie doświadczyła prawdziwej troski ze strony tatusia?

– W tym wypadku mogę zaproponować herbatę. – Uśmiechnął się tajemniczo.

– A co, jeśli chciałabym spróbować czegoś mocniejszego? – szepnęła z lekkim rozbawieniem.

Harry pokręcił powoli głową, a jego oczy błyszczały o wiele mocniej.

– Chyba nie potrafiłbym ci odmówić – rzucił i wzruszył ramionami.

– Um, Harry? – spojrzała na chłopaka wielkimi, niebieskimi oczami.

Już wiedział, że gdyby tylko mógł, zatapiałby się w nich przez całą wieczność.

– Tak, skarbie?

Za każdym razem, kiedy zwracał się do niej właśnie w taki sposób, jej ciało ogarniały niezwykle przyjemne dreszcze. Coś było w sposobie, w jakim wymawiał to słowo. Coś zatrwającego i nęcącego.

– Chciałabym... – zaczęła nieśmiało, bawiąc się swymi chudymi palcami. – Chciałabym znów poczuć się szczęśliwa – wypaliła na jednym wydechu,

uśmiechając się krzywo.

– A nie jesteś szczęśliwa? – szepnął, przysuwając się bliżej. Nie mrugał, ani przez sekundę nie stracił z oka zakłopotanej blondynki.

– Jestem! – niemalże krzyknęła, prostując się i uciekając wzrokiem. – Ale chciałabym...

– Wiem. – Położył palec na jej pełnych wargach, przerywając. – Świetnie wiem, o co ci chodzi. – Przysunął twarz do jej ucha i ustami musnął rozgrzany policzek. Niezwykle delikatnie, prawie niewyczuwalnie. – Zaraz wracam – dodał niskim głosem i podniósł się leniwie z kanapy.

Kiedy wrócił i usiadł naprzeciwko, z jego opalonej twarzy nie schodził uśmiech. Dziewczyna odetchnęła dyskretnie z ulgą i przygryzła wargę. Gdy uwalniała ją powoli spod zębów, jego ciało ogarnęły przyjemne dreszcze. Przysunął się jeszcze bliżej, w krótkim czasie na jego długim palcu znalazła się biało-zielona tabletką. Gdy Bree spojrzała na kapsułkę, jej oczy zaśniły. Wzięła głęboki oddech i powoli rozchyliła usta.

– Świetnie, skarbie – rzucił cicho, unosząc dłoń i kierując ją w stronę dziewczyny. Zaraz potem dostał coś, czego nigdy by się nie spodziewał; to, czego pragnął, choć mogłoby się to wydawać naprawdę niczym.

Patrząc prosto w jego ciemniejące oczy, Bree połknęła kapsułkę. Zmrużyła oczy, wzdychając z ulgą. Dostała wszystko, za czym tak bardzo tęskniła. Uzależniła się w tak krótkim czasie od uczucia, jakie dawało jej biało-zielone lekarstwo. Wszystko wydawało się takie idealne. W tamtym momencie nie oczekiwała już niczego innego, nie zdając sobie jednak sprawy z obrazów i fantazji rodzących się w głowie młodego mężczyzny. Ułożyła się na kanapie, co chwilę mrużąc oczy, wsłuchiwała się w cichą muzykę i dziwnie przyśpieszony oddech chłopaka. Czuła radość, sztuczną, chemiczną radość, która w zupełności jej wystarczała.

W pewnym momencie poczuła, jak kanapa ugina się pod ciężarem Harry'ego. Zaraz potem znalazła się pod jego opalonym i twardym ciałem. Nie panował już nad nim, panując jednak jeszcze nad najgroźniejszymi demonami w swej głowie. Ułożył rozgrzaną dłoń na policzku Bree, zwracając tym samym uwagę dziewczyny. Uchyliła leniwie powieki, przesywając go błękitem oczu. Przesunął koniuszkiem języka po dolnej wardze, muskając jednocześnie dłonią jej skórę. Była tak aksamitna, nieskalana, że każdy ruch wprawiał go w niemałą ekstazę. Przejechał kciukiem po jej ustach, zaraz potem po nosie, czole, brodzie, zamkniętych powiekach. Niezwykle dokładnie badał każdy zakamarek jej twarzy. Wciąż pragnął więcej, bardziej, boleśniej mocniej.

Nachylił się nad nabierającą kolorów twarzą Bree, a ona spojrzała ze zdziwieniem, rozwierając dyskretnie wargi. Tej nocy pozwoił sobie na wiele więcej. Widząc zaufanie i chęć poznania nowego ze strony dziewczyny, uwolnił

część swych pragnień, trzymając jednak wciąż większość na wodzy. Nie mógł pozwolić, by poznała wszystkie jego demony, nie od razu. Nie mógłby jej stracić. Nie teraz, kiedy z każdą minutą pragnął jej bardziej. Jego obsesja rosła w siłę, gdy rozgrzanymi do czerwoności ustami muskał aksamitną skórę dziewczyny, przesuwając jednocześnie dłoń po jej szyi, czasem kalecząc jej niewinność delikatnym wbiciem paznokci. Całował każdy centymetr twarzy, kąciki jej ust. Karmił się, narażając na większy głód. Napinał mięśnie, jego ciało oblewał zimny pot, ale nadal potrafił panować nad diabłem siedzącym gdzieś w głębi jego duszy.

– Delikatna, krucha, niewinna... – szeptał, gdy jego wargi znalazły swe miejsce na jej gardle, po którym błędził równocześnie dłonią. – Tylko i wyłącznie moja – dodał bardzo zachrypniętym głosem, nakreślając mokrą ścieżkę na jej ciele językiem.

Jej drobne piąstki zacisnęły się delikatnie na kanapie. Poddawała się cudownie przyjemnemu i niebezpiecznemu uczuciu, jakie powodowały usta Harry'ego. Wszystko podsycane było spokojem serca i jego słowami. Słowami, które wcale nie były bezmyślną gadaniną. Bree usłyszała:

– I oczekuję cudu, twego serca i twej duszy. Oczekuję twego zaufania i twej świadomości. Bo należysz do mnie. I już zawsze tak będzie.

Atmosfera gęstniała z każdą sekundą, w pomieszczeniu robiło się coraz duszniej. Świeczki w kuchni dopalały się, a dźwięki muzyki nie dochodziły już do jej uszu. Wszystkie jej demony, złe głosy w głowie i nieznane wcześniej emocje, skupiały się wokół Harry'ego. Oddawała mu swoje ciało, oddając jednocześnie o wiele więcej. Poddawała się niezwykłym pocałunkom, delikatnym muśnięciom i jego głosowi: niskiej, zachrypniętej barwie, która powtarzała rzeczy niepokojące. Dźwiękowi, który uzależniał. Dokładnie tak, jak zapach jego perfum czy język na jej rozgrzanej skórze. Nie posunął się niżej niż do obojczyków. Ale to wystarczyło. Wystarczyło, by doprowadzić niczego nieświadomą Bree do szaleństwa. Jej ciało, pokryte gęsią skórą, drżało przy każdym zetknięciu z rozgrzаныmi wargami chłopaka. Robił rzeczy, których jeszcze nigdy nie doświadczyła. Scałowywał niewinność z jej skroni, szyi i gardła. Jednak ani razu nie odważył się na muśnięcie jej ust. Jego wewnętrzne demony wołały odłożyć jedno z najprzyjemniejszych doświadczeń na później.

W pewnym momencie wyprostował się. Dziewczyna uniosła powieki i spoglądała z zaciekawieniem, trochę ze zniecierpliwieniem na młodego mężczyznę. Chwycił w dłoń aparat i zwilżając leniwie wargę, przysunął lustrzaną do twarzy, a drugą dłoń ułożył na gardle Bree. Tym razem jednak nie robił zdjęć, bo fotografie nie oddałyby tamtej chwili. Odsunął powoli aparat od twarzy, ale obiektyw wciąż skierowany był na wątlą blondynkę. Jego druga dłoń przesuwała się od gardła przez obojczyki, do dekoltu. Palcami zahaczał o sukienkę, jednak nie posuwał się za daleko. Napawał się każdą milisekundą tej niezwykłej chwili.

Chwycił w palce wcześniej przyniesioną z kuchni białą różę, przejechał językiem po zębach i wciąż trzymając w dłoni aparat, przesunął delikatnymi płatkami kwiatu po równie aksamitnej skórze dziewczyny. Leniwie, dokładnie, ostrożnie. Doprowadzał tym zmysły Bree do szaleństwa. Wszystko, co robił, robił powoli, kusząc zarówno siebie, jak i dziewczynę, namawiając podświadomie na niebezpieczne nieznane. Na momenty nieznane, cholernie kuszące i jeszcze bardziej niebezpieczne.

Przesuwał płatkami róży po jej odkrytych ramionach, rękach i dłoniach. Zaraz potem wrócił do szyi, delikatnie musnął jej rozgrzane do czerwoności policzki. Oddychał szybciej, czuł, jak dosłownie wszystkie jego mięśnie napinają się i twardnieją. Tak mocno, jak jeszcze nigdy.

Pragnął jej, pożył jej, potrzebował jej. Z każdą sekundą, każdą setną sekundy uzależniał się, jego obsesja rosła w niezwykłą siłę. Musiał ją mieć. Musiał mieć jej umysł i ciało tylko dla siebie. Na zawsze, nieprzerwanie. Łaknął Bree jak powietrza. A ona zaczynała łaknąć jego jak róża wody. I w tak krótkim czasie, w tak banalny na pozór sposób, uzależnili się od siebie. W tym samym momencie. Paranoicznie, zachłannie, nieodwracalnie.

Harry chował w sobie mnóstwo przerażających tajemnic i chorobę, której Bree nie znała. Chorobę, nad której niektórymi objawami nauczył się panować. Był niezwykle dobrym aktorem. Prowadził grę pozorów i nikt nigdy nie zauważył, jak źle jest z zielonookim chłopcem. Może dlatego, że wszyscy od zawsze uważali go za strasznego dziwaka. Nikt nie chciał przebywać z nim dłużej niż pięć minut. Nawet w szkole – a należał do przystojniejszych i wszystkie dziewczyny pragnęły, by się z nimi umówił – po kilku minutach szczerzej rozmowy ze strachem w sercu robiły krok wstecz.

Każda normalna osoba już dawno odsunęłaby się na bezpieczną odległość od jego demonów. Ktoś z większą wyrozumiałością chciałby mu pomóc, gdyby tylko wiedział, jak. Ale Bree nie była normalna. I nie chodziło tutaj o aspołeczność czy anoreksję, na którą cierpiała. Mimo pozorów obydwójce byli do siebie cholernie podobni. A jak świat udowadnia, „wariata ciągnie do drugiego wariata”. Jedyne, co ich różniło, to diagnoza i stopień bezlitosności demonów. Bo Harry pozwalał sobie na wiele, czasem na zbyt wiele, podczas gdy ona bała się tego, co dzieje się w jej głowie. Właśnie dlatego używała ostrych żyletek, noży i innych pomocnych rzeczy, by okaleczać się przy każdej złej myśli.

Ale gdy zaprzyjaźniła się, co trudno było nazwać prawdziwą przyjaźnią, a raczej spaczonym układem, z Harrym, przestała bać się swojej bezsilności, swojej niewiedzy. W końcu znalazła kogoś tak podobnego do siebie, kogoś, kto mógłby ją zrozumieć. I właśnie dlatego tak bardzo utonęła. Destrukcyjnie zauroczyła się w zielonookim sąsiedzie.

\*



Siedzieli na podłodze oparci o kanapę i wpatrywali się w to samo nieokreślone miejsce. Czasem rozmawiali, czasem milczeli. Czasem spoglądali sobie w oczy, rozchylając wargi. Niemo zapewniali o swojej bliskości. Bree poczuła w pewnym momencie strach, niepohamowaną obawę, że wszystko może pęknąć jak bańka mydlana. Czowała, że się zmienia. Tylko przez niego i dla niego. I zaczęła bać się o samą siebie, po raz pierwszy i ostatni w życiu. Odwróciła głowę w stronę Harry'ego. Wyglądał niezwykle, gdy na jego profil padało nagle światło księżyca. Wyglądał niczym piękne niebezpieczeństwo, które pochłaniało jej serce.

– „Lecz tobie nie wolno zapomnieć – odezwała się cicho, dodając sobie w duchu otuchy. – Stajesz się odpowiedzialny na zawsze za to, co oswoiłeś. Jesteś odpowiedzialny za swoją różę”.

Spojrzał na dziewczynę z góry. Jego oczy błyszczały, a zimne serce urosło. Ułożył dłoń na jej policzku i leniwie skinął głową. Już zawsze będzie za nią odpowiedzialny, bo na zawsze pozostanie jego własnością.

Los nie zawsze daje nam to, czego od niego oczekujemy, i czasem okazuje się, że to dobrze. Bo czymże byłaby przyjemność czerpana z nieznanego, gdyby dostawało się wszystko na każde kiwnięcie palcem? Choć Harry pragnął niewinności dziewczyny każdą cząsteczką swojego ciała, o wiele bardziej cieszył się z jej spojrzeń i muśnięć.

Tej pierwszej wspólnej nocy nie wydarzyło się nic, czym powinna się martwić. Jednak tylko na pozór. Bo choć nie oddała mu swego ciała, oddała mu znacznie więcej. Znakomicie widział, że jej dusza i myśli należą do niego. Napawał się widokiem jej spokojnej, rozluźnionej twarzy, gdy odpływała w świat marzeń i snów. Zaniósł Bree do sypialni i ułożył na łóżku niczym przepiękną porcelanową lalkę. Zaczekała kilkakrotnie i ułożyła się na boku. Ramięczko jej sukienki zsunęło się nieznacznie. Wyprostował się lekko i przygryzł wargę. Odetchnął głęboko, zbliżył się i powoli nasunął kawałek materiału na jej ciało, nie potrafiąc powstrzymać się od dotknięcia blondynki. Napiął mięśnie i więząc wargę pod zębami, palcem przesunął po jej ciepłym policzku, który nabrał barw w miejsce chorobliwej bledkości. Gdy przesunął opuszką po jej skórze, rozchylił wargi, jego oczy zabłysły, demony rosły.

Stał przy dziewczynie przez prawie pół godziny. Pół godziny bez żadnego ruchu, pół godziny spędzone na dotykaniu jej skóry i ciągłym cichym powtarzaniu jej imienia. Pół godziny karmienia demonów i podsycania ich pragnienia. Ułożył się ostrożnie na łóżku, tuż obok dziewczyny, i uniósł kąciki ust.

– Śpij dobrze, moja słodka i niewinna Bree – szeptał do jej ucha.

Poruszyła się delikatnie, ale nie obudziła.

Z nieznikającym uśmiechem po raz kolejny musnął opuszką palca jej policzki.

– Nie pozwolę cię zabrać. Nikomu – szeptał o wiele niższym, pewniejszym głosem.

\*

Stała przed nowym ogromnym lustrem w swoim pokoju w samej bieliźnie, dokładnie lustrując każdy skrawek swojego zniechęconego ciała. Walczyła ze sobą i głosami w głowie, które z taką pasją namawiały ją do kolejnego okaleczenia się za winy. Ale jakie grzechy mogłyby popełnić tak zagubiona dziewczyna?

Już od dawna nie brała swoich kapsułek, zarówno tych na piękny wygląd, jak i tych uspokajających. Wszystko po to, by móc brać te, które tak bardzo ją uszczęśliwiały.

Przesunęła drżącymi dłońmi po talii i skrzywiła się, ale wciąż spoglądała samej sobie w oczy. Zerknęła na blizny, te na udach, na brzuchu i nadgarstkach. Na blizny zarośnięte, zapomniane. Wciąż się nienawidziła. Wciąż uważała, że daleko jej do wykreowanego przez współczesność ideału kobiety. Ale coś się zmieniło. Wydawać by się mogło, że to nic takiego. Ale dla niej to było coś znaczącego. Stojąc przed lustrem i wpatrując się w swoje odbicie, powtarzała te kilka zdań.

– Harry lubi mnie taką, jaka jestem. Harry chce się ze mną przyjaźnić. Harry nie uważa, że jestem gruba – szeptała, akcentując niezwykle czule jego imię.

I po raz pierwszy od tak długiego czasu, podchodząc bliżej lustrzanej powierzchni, uśmiechnęła się sama do siebie. Młody sąsiad może karmił jej demony, może był najgorszym towarzystwem, jakie mogła sobie wyobrazić, jednak był również pomocną dłonią. Był małą iskierką nadziei na drodze do odzyskania pewności siebie. Niszczył i pomagał jednocześnie. Był po prostu pięknym niebezpieczeństwem, w którym chciała tonąć. Do końca, nie szukając pomocy. I to oznaczało jego zwycięstwo. Wygraną zwiastującą same kłopoty.

## Rozdział 12

Słowa potrafią ranić bardziej niż gesty, a ich okrutność często dorównuje najboleśniejszej przemocy fizycznej. Ostre, dogłębne, trafione w punkt słowa pozostają w nas na zawsze. Czasem jednak udaje się oczyścić umysł z wypowiedzianych i usłyszanych okrucieństw, choć blizny pozostają w naszym umyśle na zawsze. Choroby, cierpienia – wszystko wydaje się niczym, kiedy to dusza jest najbardziej obolała. Kiedy to właśnie ona jest popękana i skopana, a towarzyszy jej zbyt wrażliwa i krucha psychika.

Czasem jednak odnajdujemy kogoś, kto rozumie i małymi gestami pomaga nam uwierzyć w siebie. Świadomość obecności tej osoby popycha nas do czynów, o które nigdy nie posądzilibyśmy samych siebie.

Bree nareszcie poczuła w sobie chęć poznawania innych, chęć spróbowania czegoś innego. Jednak jedna spontaniczna decyzja bardzo szybko odwiodła ją od nowego spojrzenia na współmieszkańców małego brytyjskiego miasteczka.

To był piątkowy wieczór. Wiedziała, że młodzi o tej porze wychodzą na miasto. By się bawić, by zrelaksować się po męczącym tygodniu, by poznać kogoś nowego. Nie musiała nawet pytać o zgodę, rodziców znów nie było w domu.

Po raz ostatni poprawiła czarną prostą sukienkę i spojrzała na swe odbicie, upewniając się, że wygląda znośnie. Sprawdziła wcześniej w internecie, gdzie znajduje się najbliższy klub z całkiem przyzwoitą muzyką. Zanim jeszcze ruszyła przed siebie, po raz ostatni spojrzała na dom sąsiada. Jedynie w jego sypialni paliło się nisko światło. Dodała sobie otuchy i ruszyła wzdłuż długiej uliczki.

Stała po drugiej stronie ulicy, przy małym parku, tuż naprzeciwko głośnego klubu, w którym bawiła się połowa uczniów jej szkoły. O tym nie miała pojęcia, bo gdyby wiedziała, nigdy nie zdecydowałaby się na to miejsce.

Wbijając paznokcie w nadgarstki, nie spuszczała wzroku z drzwi wejściowych. Walczyła z sobą, biła się z myślami i własnymi demonami. Chciała zrobić krok w przód, chciała coś zmienić. Ale bała się nieznanego, swej niewiedzy. Zrobiła krok w tył i drżącymi dłońmi wyjęła z torebki małe pudełko. Wycisnęła dwie białe tabletki na uspokojenie i wpatrując się w gości klubu, wsunęła je do ust. To miała być kolejna dawka spokoju. Stojąc przy ciemnym parku i przyglądając się kolorowemu światłom ulicy, dziękowała sobie w duchu, że nie pozbyła się wszystkich lekarstw.

Każda minuta była dla niej wiecznością, gdy tak stała na baczność w miejscu od piętnastu minut. Wciąż walczyła sama ze sobą. Jeden głos mówił, że to beznadziejny i chory pomysł, że nie nadaje się do takiego świata i nic nigdy tego nie zmieni. Drugi zaś namawiał ją zagorzale do przekroczenia progu klubu, jej wewnętrzna ciekawość namawiała do spróbowania czegoś nieznanego,

absorbującego. Zdecydowała się i zrobiła krok w przód, zaciskając palce na pasku torebki. Każdy kolejny krok był prostszy, pewniejszy, choć wciąż jeszcze chwiejny.

W drzwiach uderzył ją unoszący się odór alkoholu zmieszanego z zapachem perfum, głośna muzyka i ogromna liczba ludzi. Na drżących nogach pokonała odległość dzielącą ją od baru, nie mając pojęcia, co ze sobą zrobić. Poznawała nowy stary świat samotnie. Odprowadzona spojrzeniem jednego z młodych gości klubu, zajęła miejsce na wysokim krześle. Z trudem wdrapała się na nie i powoli odkręciła w stronę barmana, a on spojrzał pytająco. Postanowiła zdać się na jego gust i propozycje. Chwilę później na blacie przed nią pojawiła się przezroczysta szklanka z kolorowym napojem. Barman uśmiechał się zbyt sympatycznie, by mogła mu odmówić.

Słodkawy posmak zastąpiła gorzka woń alkoholu. Bree skrzywiła się, odstawiając szklankę. Młody barman zerknął na dziewczynę ze zdziwieniem, pokręcił głową i wrócił do pracy. Ona jednak nie rezygnowała. Strzelając palcami, rozglądała się po ogromnym pomieszczeniu. Poznawała sposoby, w jakie bawią się jej rówieśnicy. Poznawała triki pięknych i kuszących dziewczyn oraz mimikę młodych mężczyzn z szalejącymi hormonami.

Co chwilę chwytala szklankę i przekonywała się do trunku, z każdym łykiem coraz bardziej. Nigdy nie piła, więc bardzo szybko poczuła dziwne mrowienie w palcach. Przygryzła wargę i poruszyła głową. Świat zaczął wirować, a jej wnętrzności powoli podchodziły do gardła. Zsunęła się chwiejnie z zajmowanego miejsca i potarła twarz.

– Wszystko w porządku? – usłyszała za plecami fałszywie zatroskany męski głos. Odwróciła się gwałtownie i jeszcze bardziej zakręciło jej się w głowie. Młody ciemnowłosy mężczyzna z delikatnym zarostem spoglądał na nią błyszczącymi oczami. – Powinnas się przewietrzyć – stwierdził niższym głosem i nie czekając na jakąkolwiek reakcję, chwycił Bree pod rękę i wyprowadził z klubu.

Była odurzona alkoholem płynącym w jej żyłach, była odurzona zbyt dużą dawką świeżego powietrza, reakcją tabletek na uspokojenie i wypitego drinka. Nie do końca wiedziała, co się z nią dzieje, kiedy nieznajomy mężczyzna usadził ją na ławce w parku niedaleko klubu. Stał przed nią, nachylił się i gorącą dłonią przesunął po jej twarzy, a zaraz potem po odkrytym kolanie. Bree oniemiała, czuła, że nie wszystko jest tak, jak być powinno.

Po zapewnieniu o szybkim powrocie i nakazie pozostania na ławce nieznajomy zniknął za drzwiami klubu. Dziewczyna zamrugowała kilkakrotnie, a jej serce zabiło mocniej. Drżącymi dłońmi wyjęła z torebki telefon, pozwalając, by podświadomość kierowała jej czynami. Wykręciła odpowiedni numer i powoli przysunęła komórkę do ucha.

– Harry – wyszeptała ledwo słyszalnie.

– Skarbie? Co się dzieje? – jego zdenerwowany głos przyprawił jej ciało o dreszcze.

– Pomóż mi – rzuciła jeszcze ciszej.

– Gdzie jesteś? Bree?

Rozłączyła się gwałtownie, kiedy dwóch mężczyzn stanęło tuż przed nią.

Pomocny i bardzo tajemniczy nieznajomy przyprowadził swojego kolegę. Z cwaniackimi uśmieszkami wpatrywali się w ogarniętą coraz większym strachem blondynkę. Ona ich nie rozpoznała, ale oni znali ją bardzo dobrze. Przynajmniej tak im się wydawało.

– Skąd masz pewność, że jest czysta? – zaczął jeden.

– Stary, znam ją. Chodzi ze mną do szkoły. Każdy wie, że jest dziewicą – zaśmiał się z drwiną drugi.

Bree zadrżała, odsuwając się na drugi koniec ławki. Zrozumiała, że złym pomysłem jest ufać każdemu, kto wyciągnie w jej stronę pomocną dłoń.

– W takim razie jest moja.

– Pamiętaj o umowie.

Po tych słowach wyprostowali się i oblizali znacząco, podchodząc bliżej przerażonej już dziewczyny.

Jeden moment, szalejące myśli, niecierpliwe dłonie, napięte mięśnie i okropne myśli w głowach, chęć zaspokojenia pierwotnych potrzeb w dwóch parach oczu. Jej bezsilność i niewinność. Wszystko miało być tak proste. Ale nie mogli przewidzieć, że Bree wcale nie jest samotna i bezbronna.

Silne, duże dłonie odepchnęły mężczyzn. Harry stanął przed ławką, zasłaniając sobą przerażoną blondynkę. Spoglądał na nieznajomych z góry, napinając mięśnie i oddychając zbyt szybko. Ale nie musiał się nawet z nimi bić, miał w spojrzeniu coś przerażającego. Nie musiał nawet podnosić rąk na młodych mężczyzn, by ci szybko zniknęli z jego pola widzenia. Odwrócił się powoli i spojrzał z troską na wciąż przerażoną Bree.

– Skarbie... – szepnął zdenerwowanym głosem, pochylając się nad dziewczyną.

– Skąd wiedziałeś, gdzie będę? – pisnęła, z trudem składając słowa w zdanie.

– Słyszałem muzykę. I mam przeczucie. Chodź. – Chwycił jej wątle, drżące ciało w ramiona i podniósł z chłodnej ławki.

Momentalnie objęła go i wtuliła twarz w szyję mężczyzny. Zaciągnęła się cytrusową wonią jego perfum, zmrużyła oczy i w końcu poczuła się bezpiecznie.

Zastanawiające było to, iż Harry zawsze wiedział, gdzie szukać swej podopiecznej. Ale to przecież należało do obowiązków samozwańczego opiekuna tak kruchej istoty. Psychoza rosła ze złością na zupełnie obcych mężczyzn, którzy wazyli się tknąć jego własność. Miał ochotę kopać ich tak długo, aż stracą dech w płucach. Nie chciał jednak wystraszyć Bree, nie mógł sobie na to pozwolić.

Nigdy nie był agresywny, bo jego problemy nie na tym polegały. Ale wściekłość budziła się w nim momentalnie, gdy na jego oczach działa się coś bardzo złego z jego białą różą. Po raz ostatni spojrzął ze złością na klub zostawiany w tyle. Przytulił do siebie drżące ciało blondynki i ułożył rozgrzane usta na jej czole, próbując zapanować nad emocjami. Szeptął bardzo niskim głosem do jej ucha najpiękniejsze słowa.

## Rozdział 13

Znowu spędzał czas w ciasnym, ciemnym pokoju oświetlanym jedynie nikłym czerwonym światłem. Długie sznurki podwieszono pod sufitem, a na nich setki zdjęć. Jedna twarz i jedno ciało w tysiącach odsłon. Znow jego napięte mięśnie, zroszona potem skóra i brązowe kosmyki włosów opadające na czoło. Ciemniejące oczy, spokojny i skupiony oddech, idealnie bijące serce i dolna warga co chwilę więziona pod zębami. Długie, szczupłe palce ostrożnie chwytają białe brzegi fotografii. Tysiące myśli Harry'ego skupiały się tylko i wyłącznie wokół niej.

Gdy powiesił ostatnie tego dnia zdjęcie, odsunął się o krok i leniwie rozpinając kolejne guziki koszuli, przyglądał się efektom swej pracy, która zajęła mu niemalże cały poranek. Uniósł kąciki ust i zmierzwił i tak już roztrzepane włosy. Potarł kciukiem dolną wargę, rzucił ostatnie spojrzenie na swą własność uwiecznioną na kilkuset fotografiach i opuścił ciemnię.

Z kieszeni spodni wyciągnął telefon i przyłożył go do ucha. Co najmniej jeden telefon dziennie do Bree, odkąd pomógł jej tego pamiętnego wieczoru, zawsze pod pozorem troski o jej zdrowie. Za każdym razem zachłannie pragnął jeszcze więcej tego pięknego dźwięku – jej głosu. Pierwszy sygnał, drugi, trzeci, czwarty. Nie odbierała. Rozłączył się i spróbował ponownie. Kolejna próba spelzła na niczym. Naciskając czerwoną słuchawkę, czuł, jak bardzo powoli wzbiera w nim złość. Zawsze odbierała. Coś musiało się stać. Przecież nie tak się umawiali.

Nagle poczuł, jak wszystko wymyka się spod kontroli. Jak gdyby upuszczał z rąk swą różę i nie potrafił jej złapać. Jego ciało ogarnęła gęsia skórka, po czole spływał zimny pot, jego oddech przyśpieszył, a demony stawały się bardzo niecierpliwe. Zacisnął palce na komórce, po czym odrzucił ją niedbale na kanapę. Napiął mięśnie i zmarszczył czoło, rozpinając kolejne kilka guzików. Jego tors i brzuch stały się twarde niczym kamień, jego oczy pociemniały o kilka tonów. Bardzo powoli i po raz pierwszy od tak dawna prawdziwie tracił nad sobą kontrolę. Przygryzł wargę prawie do krwi. Nabrał głęboko powietrza. Chodził od ściany do ściany, kręcił się w kółko. Napięcie nie odpuszczało, przeciwnie – rosło z każdą sekundą. Zacisnął zęby i wbił paznokcie w dłonie. Zatrzymał się gwałtownie, zmrużył oczy i odchylając głowę, próbował uspokoić oddech. Nic nie dawało pożądanego skutku. Głęboką zieleń oczu zastąpiła mroczna czerń. Nie był już sobą. Nie potrafił już być sobą, kiedy tracił nad kontrolę nad dziewczyną. Chwycił się za włosy i wrzasnął na cały dom. Krzyczał coś zupełnie niezrozumiałego, nerwowo i zbyt szybko oddychając. Ponownie zaczął krążyć po całym salonie, a kiedy znalazł się przy ścianie, uderzył w nią pięściami. Ten gest pozostawił po sobie bolesny ślad w postaci zdartych do krwi kostek. Ale Harry nie czuł bólu, nie w tamtym momencie. Bo każdym jego ruchem kierowały zmysły. Rozbił

powieszona na ścianach obrazy, przewrócił półkę z książkami, kanapę i fotel. Widząc krew na swych rękach, nakręcał się jeszcze bardziej. Ból fizyczny zaczął sprawiać mu przyjemność, był czymś o wiele prostszym i łatwiejszym do zniesienia w porównaniu z bólem nieposiadania dziewczyny. Z nadzieją spojrzął na telefon, który leżał na podłodze. Żadnych połączeń nieodebranych. Nie oddzwoniła.

Nadeszła kolejna fala wściekłości, paranoicznej agresji i chorej chęci zniszczenia wszystkiego dookoła. Chwycił szklany wazon i z impetem rzucił nim w telewizor. Kiedy to nie pomogło, zacisnął pięści i po raz kolejny zaczął wrzeszczeć na całe gardło. Obsesja mieszała się z niepohamowaną agresją i bezsilnością. Dopiero tego dnia sam przekonał się o swoim uzależnieniu. Oddał swe zmysły filigranowej blondynce, która robiła z nim, co chciała, choć zupełnie nieświadomie.

Po kilku godzinach wściekłości osunął się po ścianie i schował twarz w brudnych od zaschniętej krwi dłoniach. Opadł bez sił na podłogę. Od niechcienia zerknął w bok; gdzieś pomiędzy rozbitymi kawałeczkami wazonu leżała jego biała róża. Wciąż cała. Chwycił ją w dłonie, a sporej wielkości kolce wbiły się w jego palce. Syknął z bólu, ale zacisnął palce. Jego własna róża skrzywdziła go. Odrzucił kwiat i potarł twarz umazanymi rękami. Odchylił głowę, opierając ją o białą ścianę. Wziął kilka głębokich wdechów i nagle jego ciało ogarnął błogi spokój.

– Bree... – powtarzał szeptem. – Szaleję przez ciebie. Szaleję bardziej niż zazwyczaj – mówił do siebie, zaciskając powieki.

Siedział pośród bałaganu, odłamków szkła, w zdemolowanym pokoju, i powtarzał obsesyjnie jej imię, co chwilę zaciskając mocno zęby. Gwałtownie podniósł się z podłogi i skierował do łazienki. Tam, stając pod lodowatym strumieniem wody, oparł pięści o zimne płytki, spuścił głowę i oddychał głęboko i nieco panicznie. Spróbował zawałczyć. Z demonami, postradanymi zmysłami, ze sobą samym.

Po salonie rozniósł się dźwięk telefonu, bardzo natarczywy i głośny. Jednak Harry'ego nie było. Odplynął do zupełnie innego, demonicznego, bezlitosnego świata, w którym wciąż toczył prawie niemożliwe do wygrania batalie. Zdał sobie sprawę z pewnych pragnień i zbyt trudnych do opanowania emocji. I musiał pomóc nie tylko swemu umysłowi, ale i prymitywnemu pragnieniu ciała. Bo po burzy przychodzi spokój, a po furii przychodzi podniecenie nie do okiełznania. Paradoksalnie to niczego nieświadoma Bree miała nad nim największą kontrolę. Niewidocznie pociągała za sznurki i doprowadzała do szaleństwa jego bezlitosne demony.



## Rozdział 14

Kiedy jesteś dzieckiem, szukasz w rodzicach oparcia, zrozumienia, uśmiechów, przytuleń. Oni są całym twoim światem, są obrońcami i nauczycielami, bezpieczną przystanią, przyjaciółmi i pocieszycielami. Powinni zawsze znajdować choć chwilę dla swego dziecka. Bree tego nie zaznała. Gdy była małą dziewczynką, przekonała się, że jej rodzice to ostatnie osoby, na których może polegać. Choć to smutne, nauczyła się w krótkim czasie funkcjonować bez nich. Poznawała życie po omacku, była strachliwa, nieufna i nie rozumiała świata, który ją otaczał. Właśnie dlatego wyrosła na tak specyficzną siedemnastolatkę. Nikt nie mówił jej, co jest dobre, a co złe. Nikt nie pokazywał jej przyjemności świata ani nie klepał zachęcająco po plecach. Nikt nie ocierał z czułością zdartego kolana i nie całował blizn, by szybciej się zagoiły.

Kiedy przyzwyczaisz się do samotności, samodzielności i braku zainteresowania ze strony rodziców, dość sporym szokiem jest nagła chęć z ich strony do spędzania z tobą czasu. Bree niechętnie zgodziła się na małą podróż za miasto. Tak naprawdę nie miała innego wyboru, bo kiedy jej rodzice zawzięli się, byli zbyt uparci, by odpuścić. Zapominając o telefonie, wyruszyła na krótką wycieczkę po pobliskich lasach, łąkach i małych miasteczkach. Jej wielkomiejszczańscy rodzice usiłowali wynagrodzić jej swoją wieczną nieobecność drogimi rozrywkami i przeróżnymi pamiątkami. Chcieli kupić jej miłość zamiast poświęcić trochę czasu swej zagubionej córce.

\*

Nabrała powietrza w płuca i zapukała nieśmiało w masywne drzwi. Im dłużej czekała, tym bardziej się denerwowała. Jej wewnętrzny głos podpowiadał jej same najgorsze rzeczy, ale nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo wściekły jest Harry. Usłyszała dziwny stukot i upadek czegoś ciężkiego. Zaraz potem drzwi stanęły otworem, a w progu pojawił się całkowicie roztrzęsiony młody mężczyzna. Po jego twarzy spływały pojedyncze krople potu. Gdy ujrzał, kim jest jego gość, wszystkie demony w jego wnętrzu zaczęły szaleć z radości. Największe pragnienie przejęło kontrolę nad stęsknionym chłopakiem.

– Bree – rzucił zduszonym głosem, złapał dziewczynę za nadgarstek i gwałtownie wciągnął do środka.

Zatrzasnął drzwi i popchnął na nie filigranowe ciało blondynki. Dziewczyna zmarszczyła czoło i spojrzała w górę zaskoczona. Jej Harry nigdy nie był tak nieostrożny w stosunku do niej. Teraz zacisnął długie palce wokół jej nadgarstka i zrobił krok w przód. Wszystkie jego napięte mięśnie znów stwardniały jak wtedy, pod prysznicem, a jego oczy znów nabrały odcienia czerni. Drugą dłoń wplótł we włosy. Widziała, jak mocno zacisnął zęby. Z każdym jego gestem jej oddech

przyśpieszał. Czuła rosnący ból na nadgarstku. Palący i rozrywający zarośnięte już blizny.

– Dlaczego nie odbierałaś?! Dlaczego się nie odezwałaś?! – Podnosił miarowo głos, gdy jego palce znów i bez żadnej kontroli zaciskały się na jej skórze. Jego klatka piersiowa unosiła się i opadała zbyt szybko, a pot spływał mu po czole.

– Harry, to boli – szepnęła drżącym głosem. Uciekała wzrokiem, gdy w jej sercu znów kielkował lęk. Zerknęła ukradkiem na swą rękę. Jego uścisk momentalnie zelżał, a chłopak odsunął się na bezpieczną odległość, spuszczać drugą rękę.

– Przepraszam, skarbie, ja... – Zachrypnięty głos rozniósł się po całym pomieszczeniu, jednocześnie przerażając i wywołując dreszcze na ciele dziewczyny.

Kolejna dawka emocji, które świdrowały jego duszę, przyszła równie szybko, co poprzednia. Chwycił Bree za ramiona i przyciągnął do siebie. Przytulał tak mocno i tak szczelnie jak nigdy, by nie mogła już wypaść z jego rąk. Wcześniejszy strach zastąpiła ulga.

Dziewczyna zbyt szybko przestała się bać i oplótła go w pasie chudymi rękoma.

– Po prostu... – westchnął ciężko – tak bardzo się martwiłem – szeptał, wtulając twarz w jej włosy. Muskał opuszkami jej plecy i przyciągał bliżej. Tak mocno, że Bree niemalże traciła oddech. – Nie rób mi tego nigdy więcej, błagam. – Po kilku sekundach odsunął od siebie wątle ciało dziewczyny i chwycił jej twarz w dłoń. Przeszył blondynkę mrocznym spojrzeniem, które miało w sobie widoczną ulgę, a ona skinęła jedynie głową i przełknęła ślinę.

Jego palce znów powędrowały pomiędzy kosmyki jej włosów. Przyparł dziewczynę do drzwi, napiął wszystkie mięśnie i zbliżył się do niej. Czuła na twarzy jego oddech, czuła napierającą klatkę piersiową chłopaka i ciepło bijące od jego ciała. Rozchyliła usta i spojrzała w górę. Nachylał się powoli, co chwilę oblizując wargi. Odgarnął włosy nad jej lewego ucha i schylił się niżej, kciukiem przejechał po policzku i przygryzł wargę. Poczowała niezwykle ciepły, przyprawiający o gęsią skórę oddech na szyi.

– Moja mała dziewczynka. Mój niewinny, przepiękny płatek róży – szeptał niskim, pewnym głosem. Co chwilę wydmuchiwał powietrze w jej ucho i muskał kciukiem jej skórę. – Moja własność – dodał po chwili już zupełnie innym, mroczniejszym głosem i przejechał opuszkami palców po szyi Bree.

Dziewczyna zmrużyła oczy i przygryzła pełne wargi. Próbowwała walczyć ze swoim strachem. Próbowwała walczyć z drżącym ciałem i uginającymi się pod nią kolanami. I w tym całym natłoku emocji zdawało się, że nie dosłyszała ostatniego, a najważniejszego zdania. Przecież i tak czuła się jego. Poczowała się do bycia jego przyjaciółką, tylko i wyłącznie przyjaciółką. I to była podstawowa różnica. Bo stała

się dla niego kimś więcej. Stała się całym światem, a co za tym idzie – jego własnością. Już nikt nie miał prawa do jej umysłu i do jej ciała.

I gdy tak trzymał ją w ramionach, gdy szeptał do ucha piękne słówka i muskał nosem jej drżący policzek, w duchu składał obietnicę. Obietnicę swemu demonowi i sobie samemu. Nigdy więcej nie pozwoli, by go zostawiła. Ani na długo, ani na krótko. Nigdy nie pozwoli jej tknąć. Nikomu. Nawet gdyby miał popełnić najgorszą na tym świecie zbrodnię.

– Chodź ze mną – dodał po kilku minutach milczenia. Nie czekając na odpowiedź, chwycił ją na ręce i skierował się powoli do kuchni.

Bree nie domyślała się nawet, że jego słowa, tak z pozoru banalne i nic nieznaczące, mają w rzeczywistości tak głębokie znaczenie. Nie chodziło o przejście do kuchni. Nie chodziło o pozostanie z nim w tamtym momencie. Harry pragnął każdą cząsteczką swego ciała i mózgu, by blondynka poszła z nim... tam. By zatonąła w jego demonach, o których sile sam nawet nie zdawał sobie sprawy.

– Harry...

– Wiem, skarbie – przerwał jej, kładąc palec na wargach dziewczyny. Jego obsesja miała przedziwną moc rozumienia Bree bez słów. To niewytłumaczalna zdolność, która czasem przydarza się ludziom zakochanym. Ale czy to było zakochanie? Czy demony, które zmieniły całkowicie jego osobowość, pozwalają kochać?

Postawił ją na podłodze i stanął tuż za nią. Odetchnęła głęboko. Zrobił krok w jej stronę, stykając tors z jej plecami. Dwa szybciej bijące serca, napięte mięśnie i miliony okrutnych myśli. Nie chciał jej skrzywdzić. Nigdy naumyślnie.

Chwycił ją za włosy i uniósł jej głowę ostrożnie, równocześnie pochylając ku niej twarz. Co chwilę wydmuchiwał ciepłe powietrze na jej odkryty kark, przesuwając dłoń od ramion po same cebulki włosów. Ocierał się o jej plecy rozgrzanym ciałem. Nakręcał się tym, czego nie mógł jeszcze osiągnąć. Wszystkimi niegrzecznymi myślami. A ona? Ona poddawała się jego dotykowi bez żadnego zawahania. Zaślepiąca, otumaniona, zahipnotyzowana ciepłem jego oddechu. Jej naiwna ufność gubiła ją, podobnie jak zachłanne i błagalne pragnienie bliskości i zainteresowania popychało w objęcia diabła. Dodawało nieodpowiedzialnej odwagi. Jej demony zapragnęły więcej i więcej. A Harry dawał wszystko, za czym tęskniła.

W pewnym momencie pociągnął nieco mocniej za jej włosy, sprawiając tym samym, że dziewczyna pochylila się lekko. Przesunął koniuszkami palców po jej nagim karku, zwilżył bardzo leniwie wargi, by zaraz potem ułożyć je na skórze dziewczyny: jego bezbronnej ofiary.

Niechętnie odsunął się od Bree i przeczesał włosy. Odchrząknął i uciekł wzrokiem. Jego ciało i myśli pragnęły więcej, ale rozum podpowiadał coś zupełnie innego. Dziewczyna wypuściła ze świstem powietrze z ust. Jej serce biło mocno,

przez ciało wciąż przebiegały dreszcze. Całą sobą pragnęła więcej bliskości młodego mężczyzny. Harry świetnie to widział, zauważał każdą oznakę uzależnienia od niego. Ponieważ potrafił panować nad swymi pragnieniami, postanowił dozować przyjemność, jaką jej sprawiał. Nie dlatego, że nie chciał albo nie zasługiwała na to – wręcz przeciwnie. Ale w całym swym szaleństwie świetnie rozumiał ludzką psychikę. Czyż to nie paradoks? Doskonale wiedział, że małymi krokami i czułością zdobędzie wszystko, na czym najbardziej mu zależało.

Usadził Bree na jednym z krzeseł, ustawił przed nią wszystko, co miał w lodówce. Ciągłe tłumaczył jej, że sama nie wie, jak bardzo jest głodna. Nakarmienie jej bez sprzeciwu było jednym z jego największych osiągnięć. Bo ona nienawidziła jeść, ale przy Harrym wszystko było jakby lepsze. Nawet jedzenie.

Po posiłku on zajął się sprząaniem kuchni, a ona ruszyła do salonu. Nie zdążył jej dopilnować, nie zdążył sprząnąć skutków swej furii. Bree stanęła w progu i rozejrzała się po całym pomieszczeniu z nieukrywanym przerażeniem. Wszystko było albo stłuczone, albo przewrócone. Otworzyła ze zdumienia usta i spytała:

– Harry, co tu się stało?!

Młody mężczyzna wstrzymał oddech i napiął mięśnie. Stanął tuż za dziewczyną i omiótł wzrokiem cały salon, szukając w głowie jakiegoś sensownego wytłumaczenia. Nie mógł przecież zdradzić, że to przez nią dostał ataku furii.

– To nic. Nie lubię sprzątać i trochę się zdenerwowałem – rzucił zbyt szybko i zbyt niskim głosem. Szybko ruszył w stronę pozostałości po szklanym wazonie. Pośpiech nie pasował do niego i dlatego od razu skaleczył palce odłamkami szkła. Po raz kolejny tego dnia. Syknął z bólu i wsunął krwawiący palec do ust.

Nic nie umknęło uwadze Bree. W końcu nauczyła się tego przy Harrym. Podeszła szybko do chłopaka i chwyciła jego duże dłonie. Przeraziła się, bo dopiero wtedy zauważyła, jak są poranione. Wstrzymała oddech i delikatnie pociągnęła za sobą chłopaka, usadzając go na kanapie. Jego zielone tęczęwki obserwowały bacznie i z lekkim zdziwieniem poczynania dziewczyny, która nachyliła się nad jego dłońmi i przesunęła koniuszkami palców po zakrwawionej skórze.

– Gdzie masz apteczkę? – spytała, pełnym skupienia głosem.

– W łazience. Ale nie trzeba...

– Zaraz wracam – przerwała mu i szybko opuściła pokój.

Marszczyła czoło, wydymała wargi i skupiała się na opatrywaniu jego ran. Choć tak małe, były niezwykle bolesne. Co chwilę zwilżał wargę i nie odrywał od blondynki ciemniejącej pary oczu. Okazywała mu tyle troski. Zbyt dużo troski. Co chwilę napinał mięśnie lub zaciskał wargi, czując przeszywający ból.

Kiedy skończyła, odłożyła apteczkę na bok i wyprostowała się. Harry nie pozwolił, by się odsunęła. Splótł ich palce i musnął kciukiem wewnętrzną stronę jej

dłoni. Spojrzała na chłopca ze zdziwieniem, jednak jej ciało pokryła gęsia skórka. Już wiedziała, że uwielbia sposób, w jaki zielonooki ją dotyka. Choć to nie było nic więcej niż zwykle muśnięcie, jej zdecydowanie wystarczyło.

\*

Przechadzali się gdzieś pod miastem. W milczeniu, ale trzymając się za dłonie. Wszystko wydawało się tak oczywiste, normalne. Jego głos, zachowanie, jego opowieści. Czuł ulgę, bo znów miał ją przy sobie. Czuł też niedosyt, bo pragnął czegoś znów więcej, mocniej, zachłanniej.

Zatrzymali się pod jednym z rozłożystych drzew. Usiedli na soczystozielonej trawie i spojrzeli przed siebie. Przed nimi rozciągał się widok na całe miasteczko: urokliwe, spokojne i tajemnicze.

Ten dzień należał do tych pięknych, słonecznych i przyjemnych, podczas których aż chce się spacerować. Młody mężczyzna co chwilę zerkał w stronę zapatrzonej w krajobraz dziewczyny. Chwycił jej dłoń w swoją i przysunął się nieco bliżej. Bree przeszła go wzrokiem i bezwiednie przygryzła wargę. Przejechał koniuszkami palców po wewnętrznej stronie jej ręki, uśmiechnął się delikatnie i uniósł dłoń do swych ust. Całował i muskał językiem opuszki jej palców.

– Zrobiłbym wszystko dla mojej małej dziewczynki – odezwał się cicho. – Wszystko, o co by poprosiła.

– Dlaczego to mówisz? – nie odrywała wzroku od jego ciemniejących tęczywek.

– Bo chcę, byś wiedziała, ile dla mnie znaczysz.

– Słucham? – szepnęła, a jej oddech przyśpieszył. Nigdy nie słyszała podobnego wyznania, choć to wcale nie należało do tych tak bardzo romantycznych. Nie wydawało się wcale obietnicą przenoszenia gór, choć Harry właśnie to miał na myśli. Bądź moją własnością, a przewrócę dla ciebie świat do góry nogami. Już nigdy nie zostaniesz sama. Już nigdy nikt cię nie skrzywdzi.

– Bree, skarbie. – Chwycił jej twarz w dłonie i przesunął kciukami po rozgrzanych policzkach dziewczyny. – Boisz się mnie?

– Nie – odpowiedziała od razu, a jej serce zabiło szybciej, gdy uniósł kąciuki ust. – Dlaczego pytasz?

Nie odpowiedział. Zamiast tego bardzo powoli i dokładnie zlustrował jej twarz.

Nagle zerwał się chłodny wiatr i przeszył na wskroś lekko ubraną dziewczynę. Poruszyła się niespokojnie i przysunęła bliżej młodego mężczyzny. To był moment, który złamał jej duszę. Milisekundy największej ekstazy jego demonów. Harry nachylił się i musnął wargami jej rozgrzane usta, a fala gorąca ogarnęła ich stęsknione ciała.

Gdy dostał nieme przyzwolenie, dał jej więcej. Kiedy rozchyliła usta, on całował je zachłannie, pieścił je językiem. Smakował niewinność jej ust. Jeszcze nigdy tego nie robiła, wydeła więc wargi i poddała się jego ruchom, oddychając szybciej i wdychając intensywny zapach jego perfum. Poruszała ustami, kiedy przejeżdżał rozgrzanym językiem po jej skórze. Drżała, kiedy przysuwał się bliżej. Wstrzymywała powietrze, kiedy chwycił jej wątłe ciało w ramiona. Trzymał ją mocno, jak gdyby trzymał najważniejszy i największy skarb.

Ciemne chmury zebrały się nad ich głowami, zerwał się silniejszy wiatr, gdzieś w oddali słychać było już pierwsze grzmoty. Szarość otuliła polanę, na której dwójka zagubionych ludzi karmiła się nawzajem tym, czego tak skrycie, ale i ostentacyjnie pragnęła. Harry podgryzał jej wargi, zlizywał jej niewinność, a w jego głowie krążyła tylko jedna myśl: „Bądź moją własnością, a przewrócę dla ciebie świat do góry nogami”.

## Rozdział 15

Jej zaróżowione policzki, zmrużone oczy i drżąca skóra przy każdym spotkaniu z jego rozgrzаныmi ustami, którymi odwiedził już chyba każdy zakamarek jej twarzy. Z pasją i namiętnością, ale też z delikatnością scałowywał ostatnie tchnienia jej niewinności.

Muskała opuszkami palców jego dłonie, przesuwając po każdej wystającej żyły, każdej niedoskonałości. Tonęła w nim, tonęła w jego idealnym braku perfekcyjności, poddawała się jego ruchom. Nikt nigdy nie dotykał jej twarzy w taki sposób, nikt nigdy nie działał na nią w taki sposób. A jej pragnienia podsycił wewnętrzny głos podpowiadający, by jak najszybciej uciekała z tej polany. Ale zakazany owoc smakuje najlepiej. Resztki zdrowego rozsądku podpowiadały jej, by zwalczyła tęsknoty i zostawiła młodego mężczyznę samemu sobie. Ale ona nie mogła tego zrobić. Przecież obiecała. I nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa, chciała być częścią szalonego i mrocznego świata Harry'ego.

Zahipnotyzowana jego troską, jego czułością i pocałunkami, nie czuła, że jest skończona. Nie zdawała sobie sprawy z faktu, że jej dni są policzone, dokładnie i sumiennie wyliczone.

Jego obsesja rosła w siłę. Przerazała jego samego, ale nie chciał rezygnować. Nie potrafił wyrzucić ze swojego życia Bree. Uzależnił się. Była dla niego niczym nikotyna. Nie! Była niczym najgroźniejszy narkotyk. Zupełnie tak, jak on dla niej. I żadne z nich nie chciało odwyku. Gdzieś głęboko w sercach pragnęli brnąć w to szaleństwo. Z niecierpliwością wypisaną na twarzach chcieli wiedzieć, co wydarzy się, gdy któreś z nich pozwoli sobie na więcej.

\*

Stał przy ogromnym oknie. Wiatr wpadający przez uchyloną szybę wprawiał w ruch długie, białe zasłony. Chłopak opuścił ręce wzdłuż ciała, napiął mięśnie i skupił wzrok na nicości rozciągającej się na zewnątrz. Jego serce biło szybciej, a ciało pokryła gęsia skórka. Dostał niemal wszystko, lecz demony, nakarmione pocałunkami, zapragnęły więcej. Ale Harry nie chciał tak szybko ich karmić. Lubił, kiedy głodowały. To było niezwykle uczucie, gdy wygłodniałe diabły nareszcie dostawały to, czego pragnęły. Wtedy wszystko odczuwał bardziej, mocniej, lepiej, boleśniej, przyjemniej. Dokładnie tak, jak potrzebował.

Bree wolnym krokiem podeszła do niego, przesunęła dłońmi po napiętych plecach, wspięła się na palce i ułożyła rozgrzane wargi na karku. Zadrzał, ale nie odwrócił się od razu. Dopiero kiedy wyszeptła do ucha jego imię, przygryzł wargę i spojrzał na niską istotkę. Uniósł delikatnie kąciki ust i przejechał wierzchem dłoni po jej wciąż zaróżowionym policzku. Koniuszkiem języka zwilżył dolną wargę i wplótł swe dłonie w jej blond włosy. Oplótł kosmyk wokół palca i zaczął się nim

bawić, lustrując leniwie jej twarz, miny i spojrzenie niebieskiej pary oczu.

– Jesteś niezwykła – wyszeptał, nachylając się nad trzymanym kosmykiem i mrużąc oczy. Zaciągnął się zapachem jej szamponu.

Uśmiechnęła się niezwykle uroczo i ułożyła dłonie na jego torsie. Zamknęła oczy, by móc odczuwać wszystko ze zdwojoną siłą. Jednak czegoś jej brakowało. Czegoś, co było równie uzależniające, jak zachowanie jej sąsiada. Świetnie ją rozumiał, nie musiała nawet otwierać ust. Wystarczyło, że spojrzał w jej oczy.

Tak mocno mu ufała, że wcale nie odczuwała potrzeby, by kontrolować to, co wręcza jej chłopak. I to był jej błąd, bo od pewnego czasu zamiast biało-zielonej tabletki dostawała od Harry'ego coś, co jeszcze bardziej uzależniało ją od niego i jego świata. A on wcale nie chciał jej krzywdzić, nie robił tego z palącej potrzeby jej zguby. On chciał tylko szczęścia i posłuszeństwa, gubiąc się samemu w całym tym szale nie do zatrzymania. Bo nawet tak mroczny człowiek jak Harry jest zagubioną istotą, która czasem traci zdrowy rozsądek. Wystarczy jedynie chwila słabości.

Przyjemnie ciepły wiatr wpadał do uporządkowanego już salonu. Wszystko wydawało się tak niewzruszenie spokojne, wszystko wyglądało normalnie i żadne z nich nie spieszyło się. Żadne nie czuło tej dziwnej atmosfery czy męczącej ciszy. Nie rozmawiali dużo, woleli wpatrywać się w siebie lub niewinnie muskać swe ciała opuszkami palców. Bez żadnych niepotrzebnych podtekstów czy nieokielzanych pragnień.

Chłodny powiew pieścił rozgrzaną twarz Bree, studził demoniczne myśli Harry'ego. Rozwiewał jej włosy i wprawiał go w jeszcze większy zachwyt nad jej osobą. Jedynym dźwiękiem prócz ich oddechów był trzepot śnieżnobiałych zasłon. Dziewczyna poczuła w sercu ukłucie. Nigdy go o to nie pytała, ale wiedziała i czuła, że coś ich łączy. Coś o wiele większego od prozaku czy wspólnie spędzonych godzin. Coś więcej niż sąsiedzka sympatia. On był jedyną osobą, z którą rozmawiała. Ona była jedyną osobą, która w ogóle się do niego odzywała. Przepiękna katastrofa wisiała w powietrzu, wprawiając ich zagubione serca w szybsze bicie, a spragnione demony przywodząc do jeszcze większej tęsknoty.

– A kiedy odejdziesz? – odezwała się w pewnym momencie, zerkając kątem oka na spokojnie unoszącą się klatkę piersiową Harry'ego.

– Kiedy odejdziesz, zabierzesz ze sobą mój ostatni dech. Zabierzesz wszystko, na czym mi zależy. Nawet moje szaleństwo. Bo jestem jedynie wariatem, kochanie. Szaleńcem, który cały swój świat uzależnił od ciebie. Naprawdę pragniesz mojej zguby?

– Nie, Harry, ja...

– Bądź tylko dla mnie. – Ułożył palec na jej rozgrzanych wargach. – Bądź tutaj, bądź tam. Bądź zawsze. – Zwilżył językiem wargi, a jego ciemniejące oczy



zabłyły.

– A jeśli i ja oszaleję? – spytała niepewnie, nie odrywając wzroku od mężczyzny.

– Wtedy będziemy szczęśliwi. Wtedy będziemy tacy sami. Ale skarbie, każdy z nas jest szalony. To tylko kwestia czasu – dodał zachrypniętym głosem. Ułożył tabletkę na jej języku i zbliżył twarz do rozpalonej dziewczyny.

– Mam dość bycia tą, której wszyscy ode mnie oczekują – rzuciła pewniejszym głosem i przysunęła się. – Straciłam nadzieję, ale twoje szaleństwo daje mi coś, czego nigdy wcześniej nie dostałam. I nigdy więcej nie dostanę. Dlaczego miałabym zostawiać swoją przyszłość? Dlaczego miałabym rezygnować z kogoś, kto sprawia, że drętwieję? – mówiła coraz ciszej, mrużąc oczy.

## Rozdział 16

Ostatniej nocy umarła, zasypiając w ramionach gorących i czułych, ale cholernie niebezpiecznych. Pozwoliła sobie jednak na zapomnienie, oddając każdy zmysł i każdą myśl. Nie było żadnego zbliżenia. Ona nie była gotowa, a on to rozumiał. Nie chciał posuwać się do tego, co podpowiadały mu jego demony. Świetnie wiedział, że gwałtownym gestem wystraszy wciąż jeszcze niepewną dziewczynę. Bo ona była niczym przepiękny, delikatny i płochliwy motyl. Uwielbiał na nią patrzeć. I tylko patrzeć. Ona dobrze wiedziała, że ich relacja zmierza ku czemuś wielkiemu, choć tajemniczemu. Nie domyślała się jednak, w jak przerażający sposób zapowiada się ich przyszłość.

Jej niebieskie, duże oczy, kiedyś bez żadnego wyrazu, zaczynały błyszczeć. Jej nieskazitelnie gładkie wargi straciły swą niewinność, coraz częściej czerwieniły się i odznaczały się na nich ślady zębów. Stawała się jeszcze piękniejsza, bo zyskała uwagę, zainteresowanie i pożądanie Harry'ego. A kiedy kobieta wie, że komuś się podoba, kwitnie i pięknieje. Bree chciała wyglądać dobrze właśnie dla niego. Starła się, zmieniała i kusila jego demony. Zachowywała się niczym prawdziwa kobieta, wciąż jednak pozostając małą niewinną dziewczynką, a to dla niego było najważniejsze.

Z jakichś powodów uwielbiał, kiedy patrzyła na niego z dołu. Uwielbiał jej dziecięce zachowanie, jej gesty i nawyki. Jej słodki, ciepły język i mały nos, którym bardzo często wtulała się w jego tors. Gdy zostawał sam, rozmyślał. O każdej jej części. Każdym najmniejszym skrawku jej ciała, które poznał. Wyobrażał sobie każdy, którego jeszcze nie dane mu było pocałować. Choć poznawali się każdego dnia – wciąż pozostawali dla siebie zagadką. Słodką, kuszącą, zabójczą tajemnicą.

\*

Ten poniedziałek był chyba najgorszy, od kiedy Bree zaczęła uczęszczać do nowej szkoły. Choć dla niej każdy kolejny dzień był udręką, teraz koleżanki postanowiły poznać się nad milczącą i niewychylającą się blondynką o wiele bardziej niż dotychczas.

Na jednej z przerw Bree weszła niepewnym krokiem toalety. Rozejrzała się powoli i odetchnęła z ulgą. Była całkiem sama. Podeszła do umywalki i spojrzała w swoje odbicie, czego nigdy nie lubiła. Spoglądała na to wszystko, czego pragnął jej młody sąsiad – każdą cząsteczką i każdym tchnieniem. Ale spokój jej duszy nie potrwał długo. Kilka minut później w szkolnej łazience pojawiła się grupka dziewczyn, które nie potrafiły odmówić sobie dręczenia blondynki.

Drwiące słowa, gesty, kilka uśmiezków za dużo i Bree zamknęła się z płaczem w jednej z kabin. Słyszając śmiech, drżącymi dłońmi wyjęła z torebki

żyłkę. Przesunęła ją pomiędzy palcami, a jej oddech zdecydowanie przyśpieszył. Nie odważyła się jednak posunąć dalej, bo do jej głowy powrócił obraz niezwykłego uśmiechu, błyszczących, zielonych oczu i kojącego głosu. Z trudem wyciągnęła z torebki telefon i wybrała numer.

– Harry, pomóż mi – wyszeptała, przyciskając słuchawkę do ucha, siadając na podłodze i kuląc nogi pod brodę.

– Skarbie, co się dzieje? – zdenerwowany głos mężczyzny obniżył się o oktawę.

– Nie potrafię sobie z nimi poradzić. Dlaczego tak mnie nienawidzą? Przecież nic nie zrobiłam – mówiła ledwo słyszalnie, czując, jak po jej policzkach spływają łzy.

– Kto? Ktoś cię skrzywdził? Gdzie jesteś? – jego głos zmieniał się z każdym słowem. Zaciskał zęby i napinał mięśnie, a do jego głowy przychodziły najgorsze myśli.

– W szkole.

– Gdzie dokładnie? – w tle słychać było, jak zbiera się do wyjścia.

– W łazience na trzecim piętrze – pisnęła i nagle po całej toalecie rozniósł się donośny śmiech dziewczyn, które wciąż tam były. – Harry, nie potrafię...

– Nie bój się, kochanie. Zaraz tam będę.

Mówi się, że to miłość sprawia, że unosimy się jak na skrzydłach. W przypadku zielonookiego mężczyzny była to obsesja podsycana troską. Wybiegł z domu i ruszył w stronę liceum, do którego chodziła Bree. To przecucie prowadziło jego nogi przez szkolne korytarze. Ci, którzy go nie kojarzyli, wpatrywali się w postać młodego mężczyzny z zaciekawieniem. Ci, którzy go znali, uciekali spojrzeniami, czując dziwny chłód przesywający ich ciała.

Wbiegł gwałtownie do damskiej toalety i rozejrzał się nerwowo. Jego serce biło tak mocno, jak gdyby miało zaraz wyskoczyć z piersi. Koleżanki Bree spojrzały ze zdziwieniem na Harry'ego. Jedna z nich już otwierała usta, by rzucić zupełnie niestosowny komentarz, ale jego spojrzenie zmroziło jej serce.

Podszedł do jednej z kabin, do tej, która jako jedyna była zamknięta. Odetchnął głęboko i bardzo delikatnie zapukał w płaską powierzchnię.

– Skarbie, to ja. Otwórz, proszę – wyszeptał niskim, zatroskanym głosem.

Kilka sekund później białe drzwi uchyliły się powoli. Skulona blondynka łkała cicho, chowając twarz w kolanach. Z jej prawego nadgarstka spływała strużka krwi, a obok nogi leżała żyłka. Jego serce zatrzymało się na chwilę, a wściekłość ogarnęła całe ciało.

Chwycił blondynkę na rękę, ostrożnie, niczym bardzo kruchy kwiat. Ucałował jej czoło, odsuwając wcześniej kosmyki włosów, i wyszedł z kabiny. Ona wtuliła się w niego całą sobą. Oddychała wciąż bardzo szybko, ale była spokojna. Bo wiedziała, że Harry nie pozwoli jej skrzywdzić.

– A wy – zaczął przez zaciśnięte zęby, zwracając się do grupki oniemiałych dziewczyn – uważajcie na słowa i czyny. Nigdy nie wiadomo, co może na was czyhać za rogiem – dodał ciszej, a jego niski głos rozniósł się po całym pomieszczeniu. Zmroził krew w żyłach i obiecywał coś niezwykle okropnego.

Nikt nie miał prawa krzywdzić jego małej dziewczynki. Ani fizycznie, ani psychicznie. Nic nie usprawiedliwiało tak podłego zachowania, szczególnie jeśli rycerzem siedemnastolatki był on. Kiedyś nie dopuściłby się żadnej zbrodni. Był po prostu niegroźnym wariatem ze swoimi różami. Jednak wszystko zmieniło się, kiedy posiadł Bree. Kiedy dostał na własność jej umysł i pełne zaufanie. Zmienił się w kogoś, kogo niegdyś sam się lękał.

Nie pytając nawet o zdanie, przyniósł swój najpiękniejszy skarb do domu. Zadbał o nią i pielęgnował, może trochę przesadnie. Ona nie miała nic przeciwko, bo uzależniała się powoli od opieki, jaką otaczał ją Harry. Umierali w swych szaleństwach, karmiąc demony. Ich serca nie były już puste, ich umysły nie były już całkowicie czyste. Tajemnice i przedziwne wydarzenia wisiały w powietrzu. Atmosfera gęstniała od ich oddechów i pragnień, których przybywało z każdą wspólnie spędzoną minutą. Już nie szukali, bo odnaleźli wszystko. Nie chcieli być jak inni. Chcieli uciekać. Może nie dosłownie, może nie z miasta. Ale chcieli uciekać przed zdrowym rozsądkiem, spojrzeniami ludzi i tym, czego nie mogą. On stawał się coraz bardziej chory, a ona pozostawała wciąż naiwna, choć pewniejsza siebie.

Poddała się, przestała walczyć i oddała swoje demony w o wiele bardziej doświadczony dłoń. A wtedy wszystko się zmieniło. Zmienili się oni, obsesje urosły w siłę. Nieskalane myśli zmieniły się w pragnienia, blask oczu zmienił się w mroczność. A kiedy on miał stracić kontrolę, jedyne, czego ona mogłaby chcieć, to ostateczność. By pogrzebał ją wraz z ze wszystkimi swoimi pragnieniami. Nie zamierzał jej wypuszczać. Ani tego dnia ze swego domu, ani nigdy więcej ze swego umysłu.

\*

Bree postanowiła się odświeżyć, więc skierowała się w stronę łazienki, świetnie znając każdy pokój w domu młodego mężczyzny. Prawie każdy. Bo jeden z nich pozostawał tajemnicą. Nie był przeznaczony dla jej oczu. Jeszcze nie.

Kiedy ona brała prysznic, on czekał w salonie. Siedział wyprostowany i wpatrywał się w ścianę. Jego twarz pozbawiona była wszelkich emocji, a głowa przepelniona była przerażającą liczbą myśli. Jedyнным dźwiękiem w pokoju był jego nierówny oddech, świst i skrzypienie kanapy, kiedy poprawiał pozycję.

Kiedy uznał, że kąpiel dziewczyny trwa nieco zbyt długo, podniósł się z miejsca i skierował na górę. Stał przy drzwiach do swojej sypialni i zawahał się. Po raz pierwszy i ostatni. Delikatnie pchnął płaską powierzchnię, a zaraz potem

jego ciało ogarnęły dreszcze, a mięśnie napięły się do granic możliwości.

Bree siedziała na brzegu łóżka i zakładała stanik. Nie słyszała Harry'ego, nie domyślała się nawet, że nie jest już sama w pokoju. Mrużąc oczy, skupiała się na ubieraniu. A on stał w jednym miejscu, oddychając szybko. Lustrował i zachłannie zapamiętywał każdy skrawek jej pięknego ciała. Podsycił swoje pragnienia, wciąż jeszcze trzymając je na wodzy. Nie wszedł ani nie odszedł. Od samego początku zdecydowanie wolał obserwować. Obsesyjnie uwielbiał tę gęsią skórę na swym ciele i mocno napięte mięśnie. Wszystko spowodowane tylko i wyłącznie jej osobą.

\*

Ponownie spędzali czas jak inni ludzie. Ona siedziała na podłodze i w skupieniu oglądała film akcji, który wybrała zupełnie na ślepo, a on nie potrzebował niczego prócz jej obecności. Zupełnie nie interesował go seans, dialogi i fabuła. Wolał siedzieć tuż za nią, trzymając ją między swymi nogami i opierając się o kanapę.

Bawił się jej włosami, kiedy ona wzdychała z zachwytem nad scenami w filmie. Czowała się swobodnie, czowała się znakomicie. Stykając się plecami z jego gorącym tarsem, delectowała się dotykiem jego palców badających każdy skrawek jej szyi. Chwytał kosmyki włosów, oplatał je wokół i przysuwał do swej twarzy. Mrużył oczy, kiedy zaciągał się ich zapachem. Dyskretnie, obsesyjnie, dokładnie. Całował każdy jasny pukiel, bawił się nim i pogrążał w niebezpiecznym stanie. Szeptał do siebie, oblizywał wargę i łapał zachłannie każdą sekundę.

Odwróciła głowę, napotykać mocno błyszczące oczy młodego mężczyzny. Uśmiechnęła się pięknie i rozchyliła wargi, Harry przejechał po nich kciukiem.

– Mam coś dla ciebie, maleńka – szepnął zduszonym głosem. Odchylił się i ze stolika nieopodal wziął małe pudełeczko. Bree obserwowała chłopaka z nieukrywaną ciekawością. – Odwróć się – szepnął ledwo słyszalnie, całując delikatnie jej nos. Skinęła głową i odwróciła głowę. – A teraz zamknij oczy, skarbie.

Bardzo powoli odsunął jej włosy i założył na szyję łańcuszek z wisiorkiem. Zapiął go ostrożnie i ucałował kark. Przejechał koniuszkami palców po jej ramionach i nachylił się nad uchem, szepcząc czule słowa. Uchyliła powieki i spojrzała w dół. Jej serce zabiło mocniej, gdy dojrzała na swej skórze białą różę z prawdziwą perłą, nieme oznaczenie własności.

– Harry, to jest przepiękne. – Dotknęła małego wisiorka. – Ale z jakiej to okazji?

– Czy musi być okazja? – odpowiedział powoli, jak to miał w zwyczaju. – Ten naszyjnik należał do mojej babci. Teraz należy do ciebie.

– Dziękuję. – Uśmiechnęła się delikatnie, odwracając do młodego mężczyzny. Wciąż muskała białą różę koniuszkami palców. – Jesteś kochany –

dodała ciszej, układając pełne wargi na jego rozgrzanych ustach.

– Już zawsze będziesz moja. Zawsze – szepnął ledwo słyszalnie.

Była heroiną, powietrzem, wodą dla spragnionego wędrowca. Była światem, gwiazdami, słońcem, deszczem. Była największym pragnieniem, marzeniem i perspektywą uleczenia. Była jednocześnie najgorszym i najlepszym, co spotkało go w życiu. Należała do jego świata, do jego demonów.

Jedynie ostateczność mogła uwolnić ją z tego układu. Złamanie, pogrzebanie, poddanie. Bo choćby starała się ze wszystkich sił znaleźć inne rozwiązanie, była już śmiertelnie zgubiona, w pełni podporządkowana jego fanatyzmowi i chorej miłości, masochizmowi i obsesji w dążeniu do posiadania wszystkiego, co z nią związane. Zachłannie. Zawsze mocniej, bardziej, więcej, boleśniej, ostatecznie.

## Rozdział 17

Dni miały nieubłaganie, zieleń liści na drzewach zastąpił przepiękny, rudawy kolor. Powietrze robiło się rześkie, wiatr hulał opustoszałymi ulicami. Spośród równo przystrzyżonych krzaków nie wychylała się żadna ciekawska głowa. Żaden mieszkaniec osiedla nie interesował się losem swego sąsiada. Spokój, cisza i pozorna normalność. Tylko za dębowymi ciężkimi drzwiami rozgrywały się sceny boleśnie prawdziwe. Te, które za wszelką cenę musiały być uchronione przed oczami i uszami innych mieszkańców.

Czasem napięcie jest tak wielkie, że to, co dawało kiedyś ukojenie, staje się zupełnie bezsensowne. Każdy z nas jest tylko człowiekiem. Każdy ma bardzo pierwotne potrzeby. Każdy oczekuje ich zaspokojenia w jak najkrótszym czasie. A ponieważ są pierwotne, normalne jest szybkie uzyskanie ulgi. Jednak nie w przypadku Harry'ego. On jeszcze nigdy nie wkładał w nic tyle silnej woli, co w panowanie nad swoimi hormonami i zachciankami. Dlatego też stan młodego mężczyzny pogarszał się z każdym dniem. Jego psychoza rosła w siłę, głosy w głowie rozbrzmiewały coraz głośniejsze i wyraźniej.

Stał przed lustrem i przesunął palcami po wciąż wilgotnych włosach, wpatrując się w swoje odbicie. Patrzył i widział, jednak nie dostrzegał siebie. Miotał się pomiędzy strachem a satysfakcją. Pomiedzy przerażeniem a tęsknotą za bliskością Bree. Psychoza, obsesja, wszystko rosło. Musiało wydostać się na zewnątrz. Chłopak zacisnął pięści i przygryzł wargę do krwi. Oparł dłonie o umywalkę. Jego oddech gwałtownie przyśpieszył, a twarz poczerwieniała. Znow spojrzał w lustro na swe odbicie i nagle przepelniła go niepohamowana furia. Wszystko, co działo się potem, było niczym chwila. Kadr wyrwany z jakiegoś filmu. Nawet on sam nie pamiętał, co tak naprawdę działo się tamtego dnia.

Chwycił w dużą dłoń szklankę i pod wpływem silnych emocji zgniótł ją bez żadnego problemu. Kawałki szkła wbiły się w jego palce. Krew spłynęła po całej ręce i skapnęła na posadzkę. Jego oddech przyśpieszył, napiął mięśnie do granic możliwości i krzyknął przerażająco głośno. Rzucił w ścianę pozostałe kawałeczki szklanki, zacisnął zęby i przejechał całkowicie zakrwawioną dłonią po swym torsie. W jego głowie szalały jedynie demony, coraz to mroczniejsze myśli. Nie było miejsca na jakiegokolwiek świadome rozumowanie.

Złapał się za włosy i mocno za nie pociągnął, zaciskając powieki. Znow krzyczał. Z bezsilności, z wszechogarniającego pragnienia i tęsknoty. Przestał nad sobą panować. Krzyczał, przeklinał i kopał w ścianę. Brudził się krwią, która nie przestawała cieknąć z jego dłoni.

W pewnym momencie zobaczył jasne światelko w tunelu całej tej mroczności, jaka go ogarniała. W pośpiechu ruszył do ulubionego pomieszczenia.

Nerwowo nacisnął klamkę i szybko wsunął się do zaciemnionego pokoju. Zapalił czerwone światło i podszedł do sznurków. Szarpiąc, zerwał z niego jedno z setki zdjęć i przycisnął je do piersi, zaciskając powieki. Odetchnął głęboko. To jednak nie dawało mu pełnego spokoju. Spojrzał na postać widniejącą na fotografii. Na piękne długie włosy, na duże oczy, niewinną twarz i najbardziej uroczy i uzależniający uśmiech na świecie.

Osunął się po ścianie, skulił i wciąż muskał zakrwawionym opuszką palca zdjęcie. Zaciskał i rozluźniał szczękę. Oddychał raz głęboko, raz płytko.

– Potrzebuję cię. Bree, tak bardzo cię potrzebuję – szeptał opętany obsesją, a jego głos brzmiał niezwykle nisko i był zachrypnięty.

Emocje powoli opadały. Wpatrywał się w postać dziewczyny, muskał zdjęcie i przyciskał do piersi. Nieustannie powtarzał te kilka najważniejszych słów. Jego głos z przerażającego zmieniał się w błagalny. Dopiero wtedy okazało się, jak mocno uzależniła go od siebie.

\*

Stała pod jego domem, kiedy niezwykle sympatyczny chłopiec rozwożący gazety po osiedlu zatrzymał się tuż obok niej. Rozmawiali. Zupełnie niewinnie, bez żadnych dwuznacznych gestów. On był po prostu ciekawy mieszkańców tego miejsca, ona zmieniła się na tyle, by móc porozmawiać z kimś nieznanym.

Harry stał w oknie i przyglądał się wszystkiemu. Nic nie mogło ujść jego świdrującemu spojrzeniu. Napinał mięśnie, a w jego sercu rosła zazdrość. Niezdrowa zazdrość. Nie wytrzymał, kiedy Bree wybuchnęła śmiechem. To on miał być sprawcą jej uśmiechów, nie jakiś zupełnie nieznanemu chłopak. Harry szybkim krokiem podszedł do drzwi wejściowych, otworzył je gwałtownie.

– Bree – rzucił bardzo niskim, stanowczym głosem.

Dziewczyna odwróciła się gwałtownie, a z jej twarzy zniknął uśmiech. Uwielbiała go, ale gdzieś w głębi serca czuła, że szykuje się coś niedobrego. Zdążyła już przecież poznać powody, przez które Harry'emu zmieniał się głos. Nie sądziła jednak, że może stać się coś takiego.

Pożegnała się z nowym znajomym i podeszła do chłopaka. Ten chwycił jej dłoń i wciągnął gwałtownie do środka. Zanim zdążyła otworzyć usta, została mocno przygwożdżona do ściany.

– Harry, co ci się stało? – spytała cicho, obserwując z lekkim strachem zachowanie chłopaka.

– Kto to był?

– Nikt ważny. Dopiero go poznałam. – Wzruszyła ramionami, unosząc w górę kąciki ust. Była dumna z samej siebie. Dumna, że nareszcie udało jej się dokonać jakichś postępów.

– Kim on jest?! – podniósł głos o oktawę.



– Nikim – pisnęła, spoglądając z rosnącym strachem w czarne oczy Harry’ego. Jej oddech znacznie przyśpieszył, a ciało ogarnęły nieprzyjemne dreszcze.

– Nie kłam! – krzyknął głośno, uderzając dłonią w ścianę obok głowy dziewczyny. – Dlaczego to robisz?! Nie wystarczam ci?! – zaciskał szczękę i oddychał szybko, zerkając na nią z góry. Jeszcze nigdy nie czuła tak wielkiego strachu. Harry był nieobliczalny. Na swoje nieszczęście uświadomiła sobie to dopiero w tamtym momencie.

– O czym ty mówisz? Przecież nie zrobiłam nic złego – szeptała ledwo słyszalnie, próbując uwolnić się spod ciała mężczyzny.

– Jesteś moja – rzucił groźnie, łapiąc jej nadgarstek i wykręcając go lekko. Pochylił się nad twarzą Bree. – Rozumiesz to? Należysz tylko do mnie – szeptał przez zaciśnięte zęby, jego oddech przyśpieszał, a palce wbijały się w chude ciało dziewczyny.

– To boli – pisnęła żałośnie, uciekając wzrokiem i próbując uwolnić rękę.

– Powiedz, że jesteś moja. Powiedz to! – Ponownie podniósł głos, znów uderzając poranioną dłonią w ścianę obok.

– Puść mnie. – Pokręciła przecząco głową i zacisnęła powieki.

– Powiedz to – wyszeptał groźnie do jej ucha, zaciskając palce na jej nadgarstku.

– Jestem twoja.

Jej głos, niezwykle cichy, delikatny i przerażony, zadowolił jego uszy i zmysły. Rozluźnił nieco uścisk na jej ręce. Bree momentalnie skorzystała z okazji. Odepchnęła młodego mężczyznę i pobiegła do drzwi.

– Bree, czekaj...

Stał w miejscu i przyglądał się jej ucieczce, nie był w stanie zrobić kroku. Ona posłała mu przerażone spojrzenie i szybko uciekła z mrocznego miejsca, które Harry wypełniał swą wściekłością i zachłannością. Wpatrywał się tępo w drzwi, jego emocje powoli opadały i docierało do niego, co zrobił. Nie zapanował nad sobą. Przestraszył ją. Popęłnił błąd. Dał się ponieść. Wszystko, co osiągnął, pękło niczym bańka mydlana z powodu złości, jaka w nim urosła. I to miał być koniec. Koniec niezdrowego układu. Bree w końcu przekonała się, jaki naprawdę jest dziwny sąsiad z naprzeciwka zakochany w swych różach. No właśnie, to miał być koniec.

## Rozdział 18

Wpadła do pomieszczenia wypełnionego jedynie ciemnością, zaczęła kręcić się nerwowo wokół własnej osi. Jej oddech zdecydowanie przyspieszył. Błądła z każdą sekundą, w jakiej próbowała zapanować nad gonitwą złych myśli, z których każda wiodła do przegranej. Do małej wielkiej przegranej.

Wyraźne głosy w głowie prowadziły ją przez kolejne minuty. Wszystko bowiem robiła niezwykle automatycznie i dokładnie. Szybko znalazła białe pudełko, które ukryła niegdyś w pokoju. Pudełko z lekarstwem na wszelkie zło. Tak na wszelki wypadek. Opłacany przez jej rodziców lekarz uwielbiał iść na rękę. Nie odmawiał tak pięknej, młodej dziewczynie.

Drżącymi dłońmi wyjęła białe tabletki kojące wszelki psychiczny ból. Zacisnęła na nich palce i na uginających się nogach zbiegła szybko do kuchni. Po zażyciu osunęła się na podłogę i zniecierpliwiona oczekiwała obiecanych skutków. Czegoś, co uspokoiłoby choć na chwilę jej serce.

Gdy tak siedziała na zimnych płytkach, jej oddech uspokajał się. Powracały przerażająco logiczne myśli. Bo dopiero wtedy coś sobie uświadomiła.

Do tamtego dnia uciekała przed światem. Nie mając nikogo, odnalazła wszystko w najmniej odpowiednim człowieku. W mężczyźnie, który krótko potem stał się jej światem. To do niego uciekała przed wszystkimi. Przed resztą okrutnego społeczeństwa. Ale teraz chciała uciekać od niego. Od jego furii i nieobliczalności. Ale jak miała to zrobić? Czy da się uciec od całego swojego świata? Od pokładów nadziei i pozornie pięknej przyszłości? Wszystko nagle runęło niczym domek z kart. Czy da się uciec przed czymś, co stało się złem koniecznym?

I nagle złe głosy, drwiący śmiech i okrutne myśli w jej głowie. Coś prowadziło jej dłoń. Złapała trzonek noża. Największego, jaki zdołała znaleźć. Nie była sobą, nie była Bree. Nie myślała logicznie. Kontrolę nad jej umysłem i ciałem przejęły jej najstraszniejsze demony.

Bardzo powoli, z namysłem, odsunęła rękaw swetra i przesunęła wzrokiem po bladej skórze. Koniuszkiem języka zwilżyła wyschniętą wargę i zmrużyła oczy.

*I co masz teraz do stracenia?*

*On nawet o tobie nie myśli.*

*Jesteś nikim i nic nie możesz zrobić.*

*Śluchaj mnie. Tylko ja jestem twoim ratunkiem.*

Dotknęła zimną końcówką noża nadgarstka. Przejechała nim po całej długości ręki. Coś w niej umarło, a coś innego narodziło się na nowo.

Przesuwała nóż po swej skórze, robiąc jedynie delikatne czerwone ślady. Oddychała płytko. Jej oczy zmieniały odcień z błękitu na niezwykle wyrazisty granat. Tańczyły w nich tajemnicze płomyki. Zaciskała palce na trzonku noża, słuchając wyraźnych głosów swego demona.

*Zrób to.*

*Posłuchaj mnie.*

*Wiem, co dla ciebie dobre.*

Była słaba, zawiedziona i pozbawiona wszelkiej nadziei, bo gdy przestała się bać, Harry okazał się diabłem w pięknej skórze. Była sama w domu, nikt nie mógł jej przeszkodzić. Nikt prócz jej samej. Napała ostrzem na skórę. Strużka krwi skapnęła na podłogę. Wtedy coś pękło. Coś zatrzymało jej myśli. Odrzuciła gwałtownie nóż i podsunęła kolana pod brodę.

Otrzeźwiała, wróciła jej świadomość, choć wciąż jeszcze nie do końca czysta. Podniosła się szybko, a cały świat zawirował. Nogi uginały się pod nią, ale nie rezygnowała. Śmiało, choć z trudem, kroczyła w stronę schodów.

Kiedy tylko znalazła się w swoim pokoju, otuliła się szczelnie kocem. Podkuliła nogi i schowała twarz w kolanach. Z jej oczu popłynęły łzy. Płakała bezgłośnie z bezsilności, walcząc z demonami w cholernie nierównej walce. Któż by się spodziewał, że tracąc zaufanie, straci dosłownie wszystko – nawet powody do zmian w samej sobie.

Nie czuła się bezpiecznie, nie czuła się dobrze. Nie czuła nic prócz nieopisanego strachu przed nieznanym. Bo co teraz? Co teraz, kiedy nie ma obok tego uroczego i troskliwego młodego mężczyzny? Myślała, że w tak krótkim czasie poznała go na wylot. Oddała mu przecież wszystko. Zawiodła się – jak za każdym razem, gdy próbowała ufać drugiemu człowiekowi.

\*

Czarne myśli zbierały się w jego zdezorientowanej głowie. Coraz więcej różanych kolców wbijało się w jego długie palce. Coraz więcej bólu sprawiała mu samotność i bezsilność. Wszystko odczuwał mocniej i boleśniej. Jego stan pogarszał się z każdą minutą.

Najpierw dopadła go nostalgia i depresja. Zaraz potem wpadł w furję: rozwałął każdą możliwą rzecz, robił dziury w ścianach, co zawsze skutkowało ogromną ilością krwi.

Nie potrafił nad sobą zapanować, nie potrafił bez niej wytrzymać. Czuł się niczym narkoman na odwyku; odwyku od jej bliskości, zapachu, dotyku i głosu. Nie mógł pozwolić, by to wszystko skończyło się przez jeden głupi wybuch.

*Zrobię wszystko. Muszę ją odzyskać. Znów musi być moja. Tylko moja.*

Zapiął czarną koszulę i przeczesał włosy. Opuścił dom w nietypowym dla siebie pośpiechu. Jeszcze szybciej znalazł się po drugiej stronie ulicy. Stanął przed masywnymi drzwiami i nabrał powietrza, uspokoił myśli i uniosł dłoń.

Zacisnęła palce na toalecie i zmrużyła oczy. Brzydziła się krwi, swego odbicia, swoich pragnień. Bała się krwi, swoich demonów i złych myśli. Tęskniła,

ale nie chciała bliskości. Ta dezorientacja przywoływała kolejne wymioty.

I gdy tak pochylała się nad muszlą już kolejną godzinę, głośny dzwonek do drzwi rozniósł się po całym domu: ciemnym i cichym. Serce dziewczyny na chwilę przestało bić. On znów ją uratował. Robił to w jakiś sposób, za każdym razem.

– Bree, skarbie. Otwórz! Wiem, że tam jesteś. Proszę! – walił w drzwi i wołał zdenerwowanym głosem.

Osunęła się na podłogę, zaciskając pięści. Napięła mięśnie, czując pod plecami zimne płytki podłogi. Do jej uszu wciąż dochodził ten sam głos, niecierpliwe uderzanie w drzwi. Odpływała, a jej serce tak nagle poczuło ulgę. Czy to nie akt desperacji i niemej przynależności, gdy pragniesz kogoś, kogo lękasz się całą sobą?

Przez jej głowę przelatywały sprzeczne myśli. Wołała o pomoc. Błagała o samotność. Chciała bliskości i zapachu perfum, które były zapewnieniem bezpieczeństwa. Chciała być sama, uciekać przed przerażającym błyskiem w zielonych oczach i psychotycznym uśmiechem.

Nie bała się już niczego. Nie bała się ludzi, ich podstępów. Nie bała się nawet śmierci. Bała się jedynie jego, jego nieobliczalności, napadów furii, niezdrowej i bezpodstawnej zazdrości. Był też jedynym, do którego wciąż chciała wracać. Wracać pod jego opiekę. Przytulać się do zawsze rozgrzanego ciała. Słuchać jego tajemniczych zapewnień i obietnic.

Karmiła się falą paradoksów. Dawała się ponieść, zaciskała coraz mocniej pięści. Podniosła się gwałtownie i znów nachyliła nad toaletą.

Nie otworzyła mu, nawet się nie odezwała. W całym domu panowały całkowite ciemności. Jego serce waliło niewyobrażalnie mocno. Adrenalina i lęk o jej kruchą osobę podsycaly jego wybujałą wyobraźnię. Obszedł cały dom dookoła. Zielone oczy rozbłysły, gdy zauważył drewnianą drabinkę przeznaczoną dla winorośli. Podwinął rękawy koszuli i chwycił mocno ciemne szczeble. Niedługo potem znalazł się na górze, pchnął szybę i wszedł powoli do pokoju. Rozejrzał się dokładnie. Wszędzie panowała ciemność, tylko z pomieszczenia naprzeciwko sączyła się delikatna stróżka światła.

Wyprostował się gwałtownie i w mgnieniu oka znalazł w łazience. Zatrzymał powietrze w płucach, jego mięśnie napięły się w nieprzyjemny sposób, przez twarz przebiegł cień zawodu.

– Bree, co ty wyrabiasz? – rzucił zduszonym głosem i momentalnie znalazł się na podłodze. Chwycił dziewczynę w ramiona i przyciągnął do siebie.

Opierała się, próbowała wyrwać, powtarzając tylko jedno słowo. Nie chciała jego obecności, łaknąc jej jednocześnie niewyobrażalnie mocno.

– No już. Uspokój się, kochanie. Obiecuję, że nic ci nie zrobię – powtarzał niezwykle opanowanym, cichym głosem. Przytulał jej wątłe ciało, zaciskał na nim

ręce. Nie chciał wypuścić jej ani na moment. Całował jej głowę i kołysał się z nią w objęciach w przód i tył. Szeptał coś zupełnie niezrozumiałego.

Przestała się opierać i wtuliła w jego rozgrzane ciało. Głosy w jej głowie ucichły. Podniósł się powoli i podszedł do umywalki. Usiadł na wannie, tuż obok. Usadził Bree na kolanach i odkręcił wodę. Bardzo ostrożnie i dokładnie przemył jej twarz, a skończywszy, ucałował delikatnie jej drżące usta. Musnął wargami poranione nadgarstki i opatrzył je. Podniósł się ostrożnie i zaniósł całkowicie poddane mu ciało dziewczyny do jej pokoju. Ułożył ją na łóżku, nakrył dokładnie i odetchnął z lekką ulgą. Bree przeszła go spojrzeniem w niemej prośbie o bliskość. Wsunął się więc na łóżko, układając tuż za jej plecami. Objął ramionami, przysunął jak najbliżej siebie. Ucałował jej włosy i musnął dłoń kciukiem.

– Śpij, skarbie. Jesteś bezpieczna. Nigdy więcej nikt cię nie skrzywdzi, ja też nie – powtarzał ledwo słyszalnie, kiedy jej powieki opadały sennie.

Oddychając niezwykle spokojnie, odpłynęła w świat snów. Wtulona w jego ciało, z głową oczyszczoną ze złych myśli, choć powinna uciekać. Czowała ulgę, mimo że wiedziała, iż nigdy więcej nie powinna mu ufać. Ale Harry wcale nie był zły. Nie był okrutnym psychopatą, któremu zależy jedynie na jej bólu. Nic nie było tak proste i oczywiste, jak mogło się wydawać.

Bo jemu zależało tylko i wyłącznie na jej bezpieczeństwie, na jej uśmiechach i zaufaniu. Czasem tak bardzo, że wpadał w furję, tym samym przerażając zagubioną dziewczynę. Ale nigdy, ani przez moment, nie pragnął jej krzywdy. Chciał bronić ją przed światem, a przy tym zachłannym pragnieniu nie zauważał, że to właśnie on jest największym zagrożeniem.

Upewniwszy się, że śpi, odetchnął głęboko. Odsunął ostrożnie blond włosy z jej karku i nachylił się. Spoglądając na jej spokojną twarz, muskał ustami jej szyję. Uspokajał swe myśli, uspokajał ciało. Nie myślał, nie zastanawiał się, nie roztrząsał.

Chwycił jej rękę. Gdy jego wzrok po raz kolejny padł na świeże blizny, umarł odrobinę. Bo każda kolejna rana to jego mała śmierć. Coś, co zakwitło w jego sercu dzięki jej bliskości, więdło, gdy widział, jaką krzywdę sobie robiła. Przysunął jej nadgarstek do ust i całował go. Dokładnie, ostrożnie, powoli.

Usiadł i palcami drugiej dłoni muskał delikatnie jej ciało. Mrużył oczy, czując pod wargami wybrzuszenia. Całował jej rękę, dłoń, nadgarstek, jakby chciał scałować cały ból i każdą kroplę krwi. Karał się w myślach. Nie potrafił sobie wybaczyć, że dopuścił, by jeszcze raz się skrzywdziła. I to wyłącznie z jego winy. Ułożył się ponownie, ale wciąż nie puszczał jej ręki. Nie potrafił i nie chciał. Oddawał siebie jej demonom. Świetnie wiedział o ich istnieniu.

W pewnym momencie Bree poruszyła się niespokojnie. Harry pogładził ją po głowie, szepcząc ledwo słyszalnie do jej ucha. Odwróciła się, przysunęła bliżej

i wtuliła w jego tors. Zaczekała i musnęła nosem skórę chłopaka. Napiął mięśnie i uśmiechnął się delikatnie.

– Śpij spokojnie – szeptał, okrywając dziewczynę szczelniej i odgarniając blond kosmyki z jej czoła. – Najpiękniejsza różo w moim ogrodzie. – Rozgrzanymi ustami wytyczał wilgotne ślady na jej bladej skórze.

Nagle jego serce zabiło szybciej, w jego głowie zaczęły kłębić się zupełnie inne myśli, a sam poczuł, że mógłby oddać jej cały świat, gdyby tylko skinęła palcem. Jego ciało drżało, na jego twarzy pojawił się przelotny uśmiech. Jego świat wywrócił się do góry nogami. Zrównany rytm dwóch serc i tak niepozorna zmiana.

– Harry... – szeptała przez sen. Cichutko powtarzała jego imię, karmiąc jego dawno skostniałą duszę.

Nie można uciec przed przeznaczeniem, choćbyśmy nie wiadomo jak bardzo się starali. Choćbyśmy ukrywali się wszędzie, gdzie to możliwe. Niektórzy jednak wcale nie chcą uciekać. Uwielbiają bowiem bawić się w masochistów, karmić swe pragnienia – i gnają ku zgubie. I nikt nie jest w stanie ich powstrzymać. Bo nawet zamknięci w zupełnie odosobnionym miejscu zawsze znajdą drogę ucieczki. Drogę do swego piekła. Pięknego i upragnionego piekła.

## Rozdział 19

Przez kilka godzin walczył umiejętnie ze snem, bo zdecydowanie bardziej wolał całować i obserwować niewinnie blade ciało blondynki. Ale czasem sen jest zbyt silny. Wygrał i tym razem. Harry bardzo powoli zamykał powieki. Dotykając palcami jej nadgarstka, odpływał w świat snów. Nie spodziewał się tak pięknych i niebezpiecznych zarazem obrazów, jakie wypełnią jego głowę.

Otworzył gwałtownie oczy, a na jego twarzy pojawił się uśmiech. Leżał na wznak. Ciało ogarnęły przyjemne dreszcze, rozchylił wargi. To, co dojrzał, przyprawiło go o szybsze drżenie serca.

Niekończąca się polana porośnięta soczyście zieloną trawą, bezchmurne, błękitne niebo. Wszędzie unosił się przedziwnie zatrważający i słodki zapach. Czuł wszystko, jak gdyby to on stał na tej pięknej łące. Mrużył oczy, nie potrafiąc uwierzyć w postać, która bardzo powoli wyłaniała się z horyzontu. Z każdym jego oddechem była coraz bliżej. Stając na środku polany, naga, w pełnej okazałości, uśmiechnęła się najpiękniej, a z nieba zaczęły spadać płatki białych róż. Obserwował każdy ruch jej wątego, bladego i przepięknego ciała. Długie włosy Bree tańczyły na przyjemnie ciepłym wietrze. Niektóre z opadających na soczystą łąkę płatków dokładnie zakrywały miejsca na jej ciele, których wciąż jeszcze nie poznał, a zaczynał pragnąć coraz mocniej. Całe to połączenie było perfekcyjne. Jego ukochane kwiaty i jego największa obsesja, tak piękna i zjawiskowa jak jeszcze nigdy. Rozchyliła powoli usta, a na jej wargi opadł płatek białej róży, po czym zsunął się na piersi. Nagie, pełne piersi ukryte za kwiatami.

Harry wyciągnął dłoń, jednak szybko zrezygnował. Przyglądał się jedynie jej ruchom: niezwykle przemyślanym, powolnym i seksownym. Jego podświadomość idealnie zobrazowała jego ukrywane zachłannie fantazje. Wszystko, czego pragnął, wszystko, czego pożądał i zachłannie kochał – choć niezdrowo i w zupełnie inny niż wszyscy sposób.

Przesunęła dłońmi po białych pączkach róż, które pojawiły się na krzakach wokół niej znikąd i ponownie otworzyła usta. Bezgłośnie wymówiła jego imię. Właśnie wtedy zaparło mu dech w piersiach. Jeszcze nigdy wcześniej – i nigdy później – nie miał tak idealnego snu. Snu, z którego mógłby nie budzić się już nigdy.

Bree uniosła dłoń i bardzo leniwie pomachała mu z niezwykle uśmiechem. Kilka białych aksamitnych płatków opadło z jej piersi, ukazując o wiele więcej. I kiedy Harry miał dojrzeć to, o czym podświadomie fantazjował, jego sen został przerwany. Perfekcyjny obraz zniknął. Kiedy chłopak się obudził, był niezwykle niezadowolony, spięty. Zacisnął pięści, westchnął głęboko, po czym lekko potrząsnął głową.

\*

Bardzo powoli odwróciła się na drugi bok i z lekkim uśmiechem objęła poduszkę, wsuwając nos w materiał. Zaciągnęła się dyskretnie zapachem jego ciała. W tym samym momencie otworzyła oczy. Nie było go. Była jedynie poduszka. Poduszka pachnąca jego obecnością.

Potarła oczy i policzki, mrugając kilkakrotnie ze zdziwieniem. Nigdy jej nie zostawiał. Nigdy nie wychodził bez słowa. Poczła w sobie pustkę. Zasypiała ze spokojnymi myślami i wizją pobudki w jego ciepłych ramionach. Choć była tak cholernie naiwna, choć powinna cieszyć się ze zniknięcia młodego mężczyzny, zbyt mocno tęskniła, gdy nie było go obok. I pomimo jego dziwnych, niebezpiecznych zachowań pragnęła go. Potrzebowała go. Tak jak róża potrzebuje wody.

– Gdzie się podziałeś? – szepnęła, podnosząc się z łóżka i podchodząc do okna.

Po przeciwnej stronie ulicy, w oknie jego domu, dojrzała postać chłopaka. Uśmiechnęła się pod nosem.

Tymczasem on miotał się w szaleństwie. Zaciskał pięści i powtarzał jej imię. Walczył ze swoimi demonami. Błagał, by dały mu spokój. Po raz pierwszy odkąd zorientował się, że tkwią głęboko w jego wnętrzu. Po raz pierwszy w życiu prawdziwie przestraszył się samego siebie. Po raz pierwszy na tyle mocno, by prosić je o odejście. Nic jednak nie dawało mu ukojenia.

Gwałtownie podszedł do ściany i uderzył w nią z całej siły pięściami. Wtedy wreszcie poczuł, jak cała złość i pożądanie odpuszczają, a ich miejsce zajmuje rozrywający serce smutek. Poczł ból. Zarówno fizyczny, jak i psychiczny.

Załamany opadł na kolana, opuszczając zakrwawione i posiniaczone dłonie po ścianie. Zwiesił głowę, aż jego długie włosy zasłoniły całą twarz. Przygryzł wargę, mocno i boleśnie. Z oczu popłynęły mu łzy bezradności, samotności, zbyt wielkiego pragnienia i porażki w walce z diabłem mieszkającym w jego duszy.

Wył, płakał, błagał o litość. Chciał pomocy, chciał spokoju. Pragnął tylko Bree i jej ciała. Wołał tylko ją i tylko jej serce.

– Pomóż mi, błagam... – szeptał drżącym, załamanym głosem, oddychając z trudem. Schował mokrą od łez twarz w dłoniach. Czekał na cud.

Drżał, wbijał paznokcie w swoje ramiona, zaciskał powieki i zgrzytał zębami. Niemo błagał o litość nad własną duszą, o chwilę spokoju, o zwalczanie pożądania i ciemnych myśli. Płakał rzewnymi łzami. Błagał o pomoc. Jego demony karmiły się jego bezsilnością. I nie myślał o niczym i nikim innym. Nigdy wcześniej nie potrzebował kogoś tak panicznie i tak mocno. Kołysał się w przód i tył. Miał wrażenie, jak gdyby coś wsuwało leniwie ogromny i palący nóż w jego serce. Nie potrafił się uwolnić. Nie od samego siebie. Był zgubiony w ciemności.

Wszystko tak nagle zaczęło boleć ze zdwojoną siłą. Spoglądał na brudną od



krwi ścianę zamglonymi oczami. Lodowate dreszcze przeszły go na wskroś. Niewytłumaczalny strach zapanował nad jego duszą i sercem.

Czy tak właśnie wygląda śmierć? – pomyślał, zaciskając powieki i jeszcze mocniej wbijając paznokcie w poranione ramiona.

I nagle znajome ciepło, zapach i bliskość. Cichy, zatroskany głos i blond kosmyki łaskoczące skórę. Piękna nadzieja powróciła do jego biednego serca.

– Harry – szepnęła z bólem Bree, opadając na kolana tuż przed nim.

Zwinnie odgarnęła jego mokre od potu włosy, złapała chłodną i bladą twarz w dłonie i przysunęła się bliżej. Jej serce oszalało. Nigdy nie widziała chłopaka w takim stanie. Nigdy wcześniej nie martwiła się o nikogo tak bardzo. Nigdy też nie pragnęła pomóc komuś tak zachłannie i całą sobą.

– Bree... – rzucił zduszonym, ledwo słyszalnym głosem.

– Jestem tutaj. Spokojnie – mówiła opanowanym głosem, choć w środku drżała z przejęcia.

– Nie. – Odsunął się gwałtownie, spuścił wzrok i pokręcił głową. – Wyjdź stąd.

– Co? – pisnęła, oddychając nieco szybciej.

– Wyjdź stąd, błagam. Nie chcę cię skrzywdzić. Już nigdy więcej. Zostaw mnie – prosił drżącym, niemalże płaczliwym głosem. Uciekał wzrokiem, wbijał paznokcie w skórę. Walczył z diabłem, który wypełniał jego duszę. Walczył ze wszystkich sił, bo świetnie wiedział, do czego jest zdolny.

– Nie. Nie zrobię tego. – Przysunęła się gwałtownie i złapała jego dłonie, próbując odsunąć je od jego ciała. Widziała, jak wielką krzywdę robi samemu sobie i bolało ją to bardziej niż własny fizyczny ból.

– Nie mam prawa prosić cię o pomoc... – zaczął urywanym głosem – choć tak bardzo cię potrzebuję... – dodał prawie niesłyszalnie. Ale ona usłyszała.

– Skarbie, nie opuszczę cię. Nie teraz, Harry – szepnęła i po raz kolejny chwyciła jego zimną twarz w swe ciepłe dłonie. – Nie boję się ciebie. Chcę być twoja.

– Bree, nie – rzucił błagalnie, kręcąc głową. Choć pragnął jej, pożądał i przywłaszczył sobie ją duszą, sercem, chciał, by uciekała. Bał się o nią. Bał się samego siebie i tego, jak pokierują nim jego demony.

Ale ona była inna. Wyjątkowa. Nieco masochistyczna. Zbyt mocno zależało jej na Harrym, by dostrzegać zło jego duszy. Była zbyt mocno zapatrzona w niego, by móc odczuwać realny strach.

– Oswoileś swoją różę. Musisz się o nią troszczyć – wyszeptała do jego ucha, przysunęła bliżej i wątlymi ramionami objęła jego chłodne i napięte ciało.

I tak nagle poczuł szczęście. Uczucie, którego nigdy wcześniej nie doświadczył. Słyszał w głowie zdenerwowane krzyki diabłów. Głosy, na które bardzo powoli stawał się głuchy. Rozluźnił nieco mięśnie i drżącymi ramionami

objął ciało blondynki. Wtulił twarz w jej włosy. Zaciągnął się zapachem jej skóry. Strach, jaki czuł, odpuszczał. Napięcie, jakie ogarnęło całe jego ciało, uchodziło z niego niczym powietrze z przedziurawionego balonu.

– Bez ciebie bym umarł. – Przyciągnął Bree tak blisko, jak tylko mógł. Przytulił ją tak czule, jak tylko potrafił. Szeptał tak szczerze, jak nigdy dotąd.

Uniosła wzrok, spoglądając na chłopca. Jej duże niebieskie oczy zaszklily się, serce zabiło mocno. To wyznanie było dla obydwójga cholernie zgubne. Ale czy mogli przewidzieć bolesne okrucieństwa w chwili, w której odzyskali nadzieję i zdobyli broń mogącą poskromić wewnętrzne demony?

Żadne z nich nie potrafiło odejść. Żadne z nich nie potrafiło zostawić drugiego, po prostu odpuścić. Byli dla siebie niczym tlen. Zachłystywali się swą obecnością i bliskością. Tonęli w rzece strachu, furii i zagubienia, ale nie chcieli wynurzyć się na powierzchnię. Nie chcieli pomocy świata. Trzymając się za dłonie, splatając palce, szli na samo dno. Ich życie stawało się *danse macabre*.

\*

Zmieniło się wszystko, dosłownie wszystko. Harry od zawsze należał do silnych osób, ale zachwyty małą blondynką zdecydowanie osłabił jego czujność. Był pewny, że jego demony uciekły, przerażone bezinteresowną czułością, jaką otrzymuje od Bree. To bolesne, jak bardzo się mylił.

Spędzali wspólnie coraz więcej czasu. Dzielili się smutkami i radościami, problemami i obawami. Pochłaniali złe myśli, dając w zamian czule i szczerze pocałunki. Wspólnie i na nowo nauczyli się, czym jest śmiech.

To było wyjątkowo ciepłe, jesienne popołudnie. W całkowitym skupieniu i powagą wymalowaną na twarzach klęczeli przy jednym z wielu krzewów róż. Bree z początku przyglądała się pracy młodego mężczyzny. Lustrowała dokładnie jego twarz, jego ciało; odznaczające się napięte i twarde mięśnie, gdy dawał z siebie wszystko, pielęgnując swój drugi największy skarb. I kiedy tak patrzyła, jak dotyka pączków róż, kiedy słuchała, jak do nich szepcze, wiedziała, że jest wyjątkowy. Bo dziś rzadko kto okazuje drugiemu człowiekowi tyle troski i zainteresowania, ile Harry wkładał w dbanie o swe róże.

– Mogę spróbować? – rzuciła, przysuwając się bliżej krzewów.

Chłopak uśmiechnął się z satysfakcją. Skinął głową i wręczył dziewczynie sekator. Bree wydeła wargi w skupieniu i zacisnęła palce na rączkach. Odetchnęła i marszcząc czoło, wzięła się do pracy. Harry pokręcił głową z niedowierzaniem, widząc, jak ona uroczo wydyma wargi i z jaką ostrożnością przycina gałęzie, jak wspaniale dba o jego skarb.

Klęknął tuż za nią. Objął ramionami i ułożył ciepłe dłonie na jej rękach. Usta przysunął do jej ucha. Szepcząc zniżonym głosem, opowiadał jej o różach.

Kierując jej dłońmi, przytulał się do jej pleców. I każdy gest był niebezpieczny, każdy prowadził do śmierci – przepięknej katastrofy.

## Rozdział 20

Miłość jest muzyką pieszczącą nasze zmysły. Przyprawia o dreszcze nasze ciała. Miłość jest tchnieniem życia w więdnącą, opuszczoną duszę. Zatrzymuje czas, zmienia bieg życia i wywraca je do góry nogami. Miłość jest słodyczą, najlepszą i najsmaczniejszą: tą zakazaną, najbardziej pożądaną. Przywołuje uśmiech i to przyjemne uczucie w sercu, rozgrzewa, doprowadza hormony do szaleństwa. Miłość zmienia. Miłość leczy. Jednak niektóre choroby są zbyt ciężkie i całkowicie nieuleczalne, by nawet tak wielkie uczucie mogło je pokonać.

Czasem rodzi się w nas demon, koszmar, który rośnie z każdym samotnym dniem. Krzyczy, śmieje się, drwi i pochłania wszystkie najpiękniejsze wspomnienia. Zostawia tylko te, które mogą mu się przydać. I to najokrutniejszy paradoks, bo coś, co wyrasta w głębi nas, robi wszystko, by nas zniszczyć. Powoli i systematycznie. Zabija całe piękno, szczęście, odbiera zmysły, zastępując je szaleństwem.

Mogłoby się wydawać, że to koniec, gdy w namiętym szale zachłanności niewinność połączy się z szaleństwem. Mogłoby się wydawać, ale to nigdy się nie skończy.

\*

Jesienny, chłodny wieczór spędzali jak zwykle w jego domu. Od kilku dni wszystko wydawało się normalne. Nienormalnie normalne. Przez kilka ostatnich dni Harry nie dostał żadnego ataku: ani zazdrości, ani bezradności. Może dlatego, że Bree poświęcała mu tak wiele czasu, każdą swoją wolną chwilę, których miała aż za dużo. Uciekała z domu pod przykrywką nauki u koleżanki. Jej rodzice okazali się niezwykle naiwni. Cieszyli się, że córka nareszcie znalazła sobie przyjaciółkę, widzieli, że coś się w niej zmieniło, dlatego poczuli ulgę. Tak wielką, że nie zauważali, iż podróż Bree za każdym razem nie trwa dłużej niż dwie minuty. Do domu po drugiej stronie ulicy. Zdawali się tym nie przejmować.

Harry rozpalił w kominku. Zaparzył jaśminową herbatę i zajął miejsce tuż obok blondynki. Na puchatym, białym dywanie, jedynym w jego domu. Dziewczyna chwyciła kolorowy kubek w dłonie i ogrzewając lodowate palce, wpatrywała się w tańczące płomyki. W jej głowie kłębiły się tysiące pytań, które tak bardzo chciała zadać młodemu mężczyźnie. Ale wiedziała, że mają na to całą noc. Nie śpieszyła się więc z pytaniami ani z niczym innym. Przy Harrym nauczyła się, że pośpiech to jedno z bezsensownych przyzwyczajzeń współczesnych czasów.

– Dlaczego wszyscy ludzie są tacy sami? – spytała w pewnym momencie, odwracając głowę w stronę chłopca.

– Bo wszyscy uważają się za wyjątkowych. A kiedy wszyscy są wyjątkowi, nikt nie jest – odpowiedział spokojnym głosem.

– Ale ty jesteś wyjątkowy – rzuciła zupełnie bez namysłu. Szybko skarciła się w myślach, a jego odpowiedzią był jedynie delikatny uśmiech.

– Jestem tylko wariatem, kochanie.

– Ale moim wariatem – stwierdziła zupełnie poważnie, przysuwając się do rozgrzanego ciała chłopaka. – I nie chciałabym zmieniać w swoim życiu już niczego więcej.

– Bree – zaczął zduszonym głosem, odkładając swój kubek i chwytając jej dłonie – jesteś tego pewna?

– Oczywiście. Zmieniłeś mnie. I teraz nareszcie wiem, czego chcę.

– Czego? – musnął palcami wewnętrzną część jej małych dłoni.

– Ciebie i szaleństwa. Naszego wspólnego szaleństwa – dodała nieśmiało.

– Wiesz, że to niebezpieczna podróż? – nachylił się nad jej uchem. Skinęła ostrożnie głową. – Ale obiecuję, że ze mną będziesz bezpieczna – dodał niższym głosem. Złapał jej twarz w dłonie i przysunął do siebie. Tak, by dzieliły ich jedynie ułamki milimetrów. Czują jego przyśpieszony, ciepły oddech na swym czole. Zapach jego perfum drażnił i pieścił jednocześnie jej nozdrza, jej serce zaczynało bić w zawrotnym tempie. I tak było za każdym razem, gdy ich usta miały spotkać się w pięknym tańcu śmierci.

\*

Kolejna dawka chemikaliów krążyła w jej ciele. Choć była to tylko jedna tabletką, dawała jej wszystko, czego Bree potrzebowała. Choć wypełniona pozorami i tajemnicą, czuła się spełniona. Uzależniona od jedynej w swoim rodzaju szczęścia rodzącego się po łyknięciu zielono-białej pastylki ze słodkiego smaku jego skóry oraz z wyrafinowanej tajemnicy.

Kolejna dawka obsesji: widok jej poddanego ciała dawał mu wszystko, czego potrzebował. Choć jego duszę wypełniały demony podpowiadające najgorsze rzeczy, czuł się spełniony, uzależniony od obecności dziewczyny, zapachu jej niewinności i błyszczących oczu.

Bree zmieniła się pod każdym względem. Czarne, smutne kolory ubrań zastąpiła kwiecistymi sukienkami. Zamiast nieładu na głowie miała piękne warkocze. Smutek i zmęczenie na twarzy przemieniły się w piękne uśmiechy.

Całkowicie wyciszona, leżała na plecach i czuła pod skórą przyjemny puchaty dywan. Ubrana była w jedną z nielicznych kolorowych i kwiecistych sukienek oraz ciemne podkolanówki. Czowała się wspaniale, mając przy sobie jego ciepło.

Przysunął się bliżej i nachylił nad jej ciałem. Kiedy ona ponownie zamknęła oczy, on zaciągnął się jej zapachem. Zaciśnął szczękę, by pohamować swe pragnienia i zniecierpliwione zmysły. Chwycił w dłoń różę z posklejanego niedbale wazonu i przysunął ją delikatnie pod swój nos, zaciągając się ulubionym zapachem.

Wszystko zdawało się tak idealne i spokojne. Ułożył biały pączek na jej skórze, przesuwał go niezwykle powoli po odkrytych udach dziewczyny. Otworzyła oczy, a on uśmiechnął się delikatnie, najpiękniej, jak potrafił.

Muskając jej delikatną, bladą skórę różą, walczył o jej pożądanie. Walczył o utratę tchu i utratę zmysłów. Przesunął kwiat znacznie wyżej, jednocześnie unosząc jej zwiewną sukienkę, aż ukazał się materiał jej jasnej bielizny. Rozchyliła usta, a jej oddech znacznie przyśpieszył.

– Jesteś taka piękna – szeptał zduszonym, niskim głosem, lustrując całą jej postać i zaciskając zęby.

Każdym masochistycznym gestem dręczył swego diabła. Nie dotykał jej, a przynajmniej nie robił tego palcami. Każdy skrawek jej odkrytego ciała muskał jedynie białymi płatkami. Uśmiechnął się z wyraźnym zadowoleniem. Jego ruchy skupiły się na jej podbrzuszu. Równie aksamitną co jej skóra różą dotykał jej kobiecości. Schodził niżej podbrzusza, ale nie robił niczego więcej. Kusił jej zmysły i pragnienia, nęcił siebie samego. Torturował ich obydwójce, wprawiając Bree w coraz większe drżenie.

– Harry – wyszeptała, oddychając niezwykle szybko.

– Tak, skarbie?

– Dotknij mnie. Proszę – dodała błagalnie, wyginając się lekko.

Bardzo powoli zieleń jego oczu zastępowała znana jej już czerń. Mięśnie chłopaka stawały się coraz twardsze, jego myśli coraz mroczniejsze. Ale ona chciała w tym utonąć, nareszcie poczuć jego ciało. Zapomnieć się pośród najmroczniejszych demonów.

Dwa drżące ciała, zapach jaśminu unoszący się w powietrzu, jej pragnienia i jego nienasycenie. Coś wyjątkowego, coś niezwykle intymnego tworzyło atmosferę pomiędzy tą dwójką.

Chwycił dziewczynę w ramiona i podniósł się powoli. Kiedy zanosił ją na górę, Bree objęła jego szyję rękoma. Pocałowała bardzo ostrożnie jego policzek. Dokładnie przesuwała rozpalone wargi po jego skórze, czując coraz większe pożądanie – uczucie, jakiego jeszcze nigdy wcześniej nie doznała.

W sypialni Harry'ego panowała całkowita ciemność. Usadził ostrożnie dziewczynę na brzegu łóżka i zapalił małą lampkę. Ciepłe i kojące światło rozjaśniło wnętrze. Chłopak cofnął się o krok i nabrał powietrza do płuc. Zachwycił się pięknem swej własności.

Bree złożyła dłonie na kolanach i wyprostowała się powoli. Spuściła wzrok, bo wciąż nie potrafiła utrzymać zbyt długiego kontaktu z właścicielem zielonych tęczęwek. Kosmyk blond włosów opadł wolno na jej twarz. Gdy Harry stanął tuż przed nią, gdy uniosła wzrok – tak niewinny i błyszczący – przygryzł mocno wargę. Wciąż walcząc z najgorszymi demonami, chwycił delikatnie jej dłoń

i uniósł ją powoli, układając sobie na policzku. Przysunął się o krok. Zadrżała, gdy dotknęła jego skóry. Była już jego. Całkowicie i niezaprzeczalnie. A on świetnie o tym wiedział.

Ułożył Bree na plecach i zawisł nad nią całym ciałem. Oparł dłonie po dwóch stronach jej głowy i nachylił twarz nad jej twarzą.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, jak długo na to czekałem – wyszeptał. Palcem rozchylił jej pełne wargi. – Rozluźnij się, skarbie – dodał cicho i ułożył na jej ustach swoje.

Całował ją bardzo powoli, bardzo ostrożnie, rozkoszując się każdą sekundą, każdym skrawkiem jej warg. Palcami muskał skórę jej szyi. Czując jej drżące ciało, napawał się jej nieśmiałością. Ona wplotła palce w rozczochrane włosy Harry'ego. Zamknęła oczy, a jej pocałunki stawały się coraz bardziej zachłanne. Pozwalała sobie na powolne odpływanie w nieznane.

– Harry, proszę... – wyszeptała zduszonym głosem, odsuwając powoli głowę i spoglądając na niego rozanielonym wzrokiem.

– O co prosisz, kochanie? – zapytał, przesuwając rozgrzanym opuszkiem palca po jej obojczykach.

– Zrób mi krzywdę. – Jej słodki, błagalny głos rozniósł się po całym pomieszczeniu. Przyprawił młodego mężczyznę o przyjemne dreszcze.

– Nigdy cię nie skrzywdzę. – Przejechał palcem po jej wargach, a ona spoglądała na niego wielkimi oczami, w których jeszcze nigdy nie widział tyle blasku i pragnienia.

– Chcę poczuć się twoja...

Fala gorąca wypełniła jego wnętrze, mięśnie napięły się już do granic możliwości. Trzymał swe demony na smyczy, ale bardzo powoli udawało im się uwalniać z łańcuchów jego świadomości.

Bree drżała. Nie potrafiła przestać. Jednak nie chciała, by Harry się odsuwał. Gdy tylko to robił, wbijała paznokcie w jego ramiona i zerkąta błagalnie. Ciche, nieśmiałe szepty blondynki uwalniały jego prawdziwą naturę. Choć wciąż był delikatny, nie potrafił już zapanować nad swoją zachłannością.

– Słodka, idealna, moja własność – szeptał zduszonym głosem.

Obydwoje pragnęli więcej, zachłannie, mocniej i natychmiast. Obydwoje chcieli nasycić się sobą. Swymi demonami i tą wyjątkową intymnością. Bo złączyły się nie tylko ich ciała, złączyły się również ich życia, ich diabły.

Z początku Harry był bardzo ostrożny, nie chciał wykonywać żadnych gwałtownych ruchów. Chciał dawać przyjemność. Chciał pokazać, jak piękne i niezwykle mogą być zbliżenia. Ale to nie potrwało długo. Bo nie potrafił już zapanować nad diabłem. Nie, kiedy czuł jej gorąco, jej bliskość. Nie, kiedy czuł jej paznokcie, jej zęby wbijane w jego ramiona. Jej ślinę, jej pocałunki, jej drżącą skórę. Poddał się władzy demonów. Stracił nad sobą panowanie. Przestał myśleć.

Chciał tylko brać.

Znacznie przyśpieszając każdy swój ruch, oparł dłonie o drewniane wezglowie łóżka i zacisnął na nim palce. Jego oczy stały się zupełnie czarne, jego ciało jeszcze twardsze, jego świadomość ulotniła się gdzieś w nieznane, ustępując zachłannemu diabłu ukrywającemu się gdzieś w głębi jego duszy.

Stał się głuchy na otaczający go świat. Przestał być delikatny i ostrożny. Jego ruchami kierował najstraszniejszy i najmroczniejszy demon. Nie był już w stanie słyszeć błagalnych szeptów Bree, nie czuł paznokci wbijanych w jego skórę niemalże do krwi. Namiętność i wrażliwość zostały zastąpione przez zachłanność i mroczne pożądanie. Dostając jej ciało na wyłączność, całą jej niewinność, chłopak stracił kontrolę nad wszystkim. Pragnął więcej i tylko więcej.

Mogłoby się wydawać, że wszystko działo się wbrew woli Bree. Ktoś mógłby pomyśleć, że dziewczyna stała się niewolnicą jego demonów. Ale to nieprawda, bo z każdym jego ruchem zakochiwała się w tym mrocznym człowieku, w jego zachłanności. Nareszcie ją posiadał, nareszcie mogła w pełni nazywać się jego własnością. I wtedy poczuła przerażającą radość.

– Tylko moja, moja własność. Na zawsze. Tylko moja – powtarzał Harry obsesyjnie, zduszonym głosem, napędzany psychozą. Nie obchodziło go nic prócz posiadania. Na wyłączność, na zawsze, za każdą cenę.



## Rozdział 21

Wydawało się, że wszystkie emocje opadły wraz z zakończeniem zbliżenia. Że każde z nich dało upust swoim najgłębiej skrywanym pragnieniom, że teraz będzie tylko lepiej. Nic bardziej mylnego, bo teraz miało być jedynie gorzej.

Harry siedział na brzegu łóżka z dłońmi na kolanach i wpatrywał się w ścianę. Oddychał wolno, ale jego oczy wciąż pozostawały ciemne. Wypełniało go uczucie o nieznanym dotychczas sile. Wypełniało go nienasycenie, które rozlewało się po całym jego ciele.

Bree podniosła się powoli z łóżka, przez cały czas obserwując Harry'ego. Działo się z nim coś dziwnego. Nie tak wyobrażała sobie mężczyznę po zbliżeniu, nie tak to wszystko miało wyglądać. A gdzie uścisk, pocałunek, najmniejsza czułość, na którą – jak jej się wydawało – chyba zasłużyła? Zapomniała, że przy tym chłopcu nie może liczyć na standardowe zachowania.

Przysunęła się w stronę Harry'ego. Przygryzła wargę ze zdenerwowania i założyła kosmyk włosów za ucho. Odetchnęła i ułożyła małe dłonie na jego twardych ramionach.

– Harry? – wyszeptała niepewnie, masując ostrożnie jego napięte mięśnie. Nie odezwał się, nawet się nie poruszył. Ponownie uwięziła wargę pomiędzy zębami i przysunęła się bliżej. Przyjrzała się jego ciału, dłoniom równo ułożonym na kolanach. – Kochanie?

Zadrżał i gwałtownie złapał jej palce. Wyprostował się powoli i przekręcił głowę, a ich spojrzenia się spotkały. Dziewczyna próbowała się uśmiechnąć, ale mroczność jego spojrzenia zbyt przerażała.

– Bree – odezwał się zduszonym głosem. Wpatrywał się w przestraszone oblicze blondynki.

– Tak?

– Czy... Czy ja cię skrzywdziłem? – spytał ledwo słyszalnie, a zaraz potem całe jego ciało zaczęło drżeć.

– Nie. – Pokręciła powoli głową, przysuwając się bliżej. – Niczym się nie przejmuj. – Uniosła delikatnie kąciki ust, przesuując chłodną już dłońią po jego policzku.

Harry przełknął głośno ślinę i spojrzał przez ramię na zupełnie skotłowaną pościel. Pośród bieli dojrzał czerwone plamki. Wyprostował się niczym struna.

– Moja różo... – rzucił drżącym głosem, po czym porwał Bree w ramiona i przytulał jej filigranowe ciało najmocniej jak potrafił. Trzęsąc się i oddychając szybko, przyciskał ją do piersi, jak gdyby tym uściskiem mógł cofnąć czas i ból, jaki sprawił jej swoim pożądaniem.

Ale ona wcale nie żałowała. Nie miała mu niczego za złe. I choć był to kolejny dowód na jej masochistyczną naturę, polubiła ten ból. Przyzwyczajona

karaniem samej siebie, lubiła ból, który niósł ulgę, czasem też niezdrową przyjemność.

Nie wróciła do domu, bo nie chciała być sama. Nie po tym, co wydarzyło się godziny wcześniej. Zasnęła, opleciona rozgrzanymi ramionami Harry'ego, z nosem w jego klatce piersiowej. Pozostawiła za sobą niewinność i złe myśli. Zasnęła, mając w głowie tysiące pomysłów na zupełnie nowe życie, jako odmieniona Bree.

A on? Przysunął się do niej i obserwował, jak śpi. Pogrążał się. Bo i Harry się zmienił, coś w tym intymnym akcie pogrzebało jego racjonalną naturę. Uwolniło demona, który od tego wieczoru miał zawsze już kierować jego czynami i myślami.

Chłopak przesunął rozgrzanymi opuszkami palców po nagim ramieniu Bree, muskał delikatnie jej policzek i pogryzione czerwone wargi. Widział ślady swoich zębów i paznokci na jej szyi. Widział w niej tylko i wyłącznie siebie samego.

– Naznaczyłem cię już na zawsze. Posiadłem cię w całości, mój mały kwiecie – szeptał niezwykle niskim, przerażającym głosem. – Nigdy nie pozwolę ci odejść. – Przejechał palcami po całym jej ciele. Nachylił twarz nad jej uchem i wydmuchał w nie ciepłe powietrze. – Zabiję każdego, kto waży się do ciebie zbliżyć. Jesteś wyłącznie moja. Jesteś własnością Harry'ego. Należysz tylko i wyłącznie do Harry'ego – rzucił zachrypniętym głosem i wbił zęby w jej skórę, pozostawiając na niej widoczny ślad.

\*

Stała przed lustrem całkiem nago. Przesuwała wzrokiem po swoim bladym ciele. Blizny po cięciach zdawały się znikać pod zniewalającą liczbą ugryzień i zadrapań. Nie było miejsca, na którym Harry nie zostawiłby po sobie śladu.

Zmieniła się całkowicie i nieodwracalnie. Bo to wszystko, co dostrzegała, bardzo jej się spodobało. Zostawiła gdzieś część swej niewinności, a tę najmniejszą cząstkę pozostawiła tylko i wyłącznie dla niego.

Odgarnęła blond włosy na bok i znów spojrzała na swe odbicie. Uśmiechnęła się szerzej, gdy dojrzała zbliżającego się chłopaka. Stał tuż za nią i przesunął dużymi, drżącymi dłońmi po całym jej ciele. Jego tors i jej plecy stykały się delikatnie.

Poprawił jej włosy i złożył delikatny, mokry pocałunek za jej uchem. Bree zmrużyła oczy z przyjemności, a wtedy on ułożył dłoń na jej gardle i gwałtownie odchylił głowę dziewczyny. Zacisnął palce i szepnął:

– Zabiję każdego, kto będzie chciał mi cię odebrać. Każdego.

## Rozdział 22

Nadchodziły mroczne godziny, bo w jego oczach coraz częściej pojawiał się cień nieuzasadnionej zazdrości. Choć wciąż nie dawał po sobie poznać, jak wielki jest diabeł w jego duszy, a Bree kompletnie tego nie dostrzegała, stan Harry'ego pogarszał się. Z każdą minutą, z każdym jej dotykiem i słowem.

Gdy miał ją obok, wszystko wydawało się normalne. Był spokojny, że jego własność nigdzie nie ucieknie. Wszystko zmieniało się, gdy opuszczała jego dom. Kompletnie przestał rozumieć, dlaczego Bree właściwie wraca do rodziców.

– Po co do nich idziesz? – spytał któregoś wieczoru, przyglądając się zakładającej buty dziewczynie.

– Bo to moi rodzice i mój dom. Muszę.

– Wcale nie musisz. Oni cię nie kochają. Teraz tu jest twój dom.

– Czemu tak mówisz? – rzuciła cicho, prostując się gwałtownie i patrząc na niego z wyrzutem.

Podniósł się powoli z zajmowanego miejsca i leniwie podszedł do blondynki. Chwycił jej twarz w rozgrzane dłonie i przesunął kciukami po jej bladych policzkach.

– Bo tylko ja cię kocham, maleńka.

– Kochasz mnie? – całe jej ciało zadrżało, a jej oczy zabłyśły. Uniosła wzrok, jej oddech przyśpieszył, teraz jego dotyk odczuwała w zupełnie inny sposób.

– Tak, dziecinko. – Głos młodego mężczyzny zmienił się w ciągu ułamka sekundy. Był mocniejszy, bardziej zachrypnięty. Nieznoszący sprzeciwu, był odzwierciedleniem jego wewnętrznego demona. Mroku, który zalewał powoli całą jego duszę.

– Ja ciebie też – rzuciła radośnie, wspięła się na palce i układając dłonie na jego rozgrzanym torsie, złożyła na ustach chłopaka niezwykle czuły pocałunek.

Może nie tak powinno wyglądać prawdziwe wyznanie. Może nie powinno ono wyjść w takiej sytuacji. Ale Bree zdecydowanie nie potrzebowała do szczęścia nic innego. Do pozornego szczęścia, bo zaślepiona zachwytem skierowanym w stronę chłopca, nie dostrzegała najważniejszego – zła czającego się w jego oczach.

– Zamieszkać ze mną. Bądźmy już zawsze razem. Zawsze.

– Nie mogę. Nie powinnam. – Objęła go i oparła czoło o jego tors. – Co powiem rodzicom?

– Oni nie muszą nic wiedzieć – szepnęła znacząco. Przeszył ją wzrokiem. – Ucieknij. Robiłaś to już tyle razy. Nie musisz się niczym przejmować. Zaopiekuję się tobą, skarbie – dodał niezwykle czule, mocniej obejmując jej filigranowe ciało.

– Przecież mieszkają naprzeciwko, to się nie uda. Nie mogę tak po prostu...

– Cicho, kwiatuszku – przerwał, układając palec na jej wargach. Uśmiechnął się, bardzo delikatnie, ledwo widocznie. – Coś ci obiecałem i zamierzam dotrzymać słowa. Poradzimy sobie. Nigdy nie pozwolę skrzywdzić mojej własności.

Jego ciało zadrżało. Nie potrafił nad tym zapanować, kuszony jej dotykiem, oddechem i perspektywą posiadania jej na wyłączność.

– Kochanie, wszystko w porządku?

– Tak – szepnął ledwo słyszalnie, objął dziewczynę w pasie i mocniej zacisnął ręce. Nie mógł pozwolić ulotnić się wszystkiemu, czym oddychał. Rosnąca w jego sercu paranoja nie pozwalała mu już na normalne życie. Nie pozwalała na normalne funkcjonowanie, na myślenie, na zdrową miłość. Bo tego, co czuł do Bree, nikt nie nazwałby miłością.

\*

Wyszła z domu przez okno, opuszczając swój pokój. Nie zdawała sobie sprawy, iż na zawsze. Zostawiła jedynie list – krótki, niewiele mówiący. I tak przecież mało obchodziła rodziców.

Zgrabnie przebiegła na drugą stronę ulicy, stanęła przed drzwiami i odetchnęła głęboko. Uśmiechnęła się pod nosem, bo już w myślach planowała piękne życie z Harrym, z jej pierwszą, najważniejszą i ostatnią miłością.

Zaślepiona, zakochana, odurzona, podawała się na tacy jego demonom. A on tracił panowanie nad sobą coraz bardziej. Ale nie było już odwrotu, odkąd przekroczyła próg jego domu tej nocy; wszystko inne w jednej sekundzie straciło swój sens. Mieli zatapiać się w chorym uczuciu i chwycić garściami piękne chwile. Ginać w swym szaleństwie, bezpowrotnie, boleśnie.

Czekał na nią, niezmiennie oparty o ścianę. Odmierzał każdą sekundę. Obserwował każdy jej ruch. Był spokojny, ale jego oczy ciemniały, ciało szalało. Wbijał ukradkiem paznokcie w dłonie, ale nie dawał po sobie niczego poznać. I tak miało być już zawsze. Do śmierci.

## Rozdział 23

Przychodzi taki dzień, z pozoru zwykły, jeden z wielu monottonnych dni życia, kiedy nie potrafisz już zupełnie zapanować nad swoimi zmysłami. Ogarnia cię strach, bezsilność, panika. Wtedy rodzi się złość, wściekłość, że nie potrafisz zrobić nic, by czuć się lepiej. Potrzebujesz czegoś. Zachłannie, gwałtownie, paranoicznie, ale pomoc nie przychodzi. Nie dopuszczasz do siebie myśli, że to może być koniec.

Ziarno złości i agresji rośnie z każdą minutą. A potem przychodzi furia. Stan, którego nikt, nawet ty, nie potrafi opanować. Jesteś nieobliczalny, przestajesz być sobą. Niszczysz wszystko, na czym ci zależy. Nic nie może cię zatrzymać. Nakręcasz się z każdym odgłosem rozbitego szkła czy krzykiem przerażonej istoty, którą przecież miałaś chronić. Jednak nigdy nie sądziłaś, że będziesz musiał chronić ją przed samym sobą.

Całe życie byłaś samotna, musiałaś walczyć o jakiekolwiek zainteresowanie osób, które przecież powinny cię kochać, dawać ciepło i bezpieczeństwo. Ale nigdy nie dostałaś choć odrobiny. Właśnie dlatego, kiedy znajdujesz inną od wszystkich osobę, zainteresowanie nią bierze górę. Przecież on wydaje się zupełnie taki jak ty. Nie może być złym wyborem.

Pozwalasz sobie puścić wodze fantazji, spuścić ze smyczy swą ciekawość. Pozwalasz sobie na powolne zagłębianie się w jego świat. A on wpuszcza cię do niego bez szemrania, podejrzanie chętnie. Ale starasz się nie zauważać dziwnych podtekstów, nienormalnych zachowań, jego świdrującego wzroku. Zachłystujesz się troską, jaką cię otacza. Cieszysz się niczym dziecko, gdy mówi, że mu zależy. Zakochujesz się, promieniejesz, zmieniasz tak, jak on oczekuje. Nie pozwalasz sobie na zauważanie jego ciemnej strony. Tłumaczysz go przed sobą. Nie dopuszczasz do siebie jego stanowczości, chorej obsesji i zazdrości. Udajesz, że nie widzisz. Bo tak jest lepiej. Tak jest wygodniej. Tak jest bezpieczniej.

\*

Po raz pierwszy od dawna nie potrafiła zasnąć. Zbyt mocno przejmowała się wszystkim, co wydarzyło się w ostatnich dniach. Siedziała na kanapie w jego salonie i przesuwiała telefon między palcami. Wpatrywała się w dziesiątki nieodebranych połączeń, setki wiadomości. Ostatkiem sił powstrzymywała się, by nie oddzwonić, by nie powiedzieć swym rodzicom, gdzie jest. Żeby się nie martwili. Żeby nareszcie żyli tak, jak zawsze chcieli – bez niej. Ale coś ją powstrzymywało. Nie miała odwagi.

Harry obudził się gwałtownie, jego ciało było spięte, z czoła spływały krople potu, oddech był zdecydowanie zbyt przyśpieszony. Podniósł się do pozycji siedzącej i przeczesał włosy, zaciskając powieki. Próbował oddychać spokojnie,

jednak jego serce wciąż biło zbyt szybko. Zerknął przez ramię na miejsce, na którym powinna spać Bree. Nie było jej. Zacisnął więc szczękę i ponownie napiął mięśnie do granic możliwości. A więc to prawda.

Momentalnie zeskoczył z łóżka i pognał na dół. Wszędzie panowały ciemność i cisza, słychać było jedynie jego zdenerwowany, zbyt szybki oddech i ciężkie kroki. Zapalił światło, które poraziło jego zaspane, choć pociemniałe już oczy, i rozejrzał się nerwowo. Bardzo powoli podszedł do drzwi wejściowych, spojrzął na miejsce, gdzie powinien wisieć płaszcz Bree. Nie było go. Nie było jej butów, nie było jej rzeczy. Wyprostował się gwałtownie, ogarnęła go panika. Strach splatał się z rosnącą furia.

Zostawiła go, choć obiecywała. Uciekła, choć miała być już zawsze.

Zaczął bezgłośnie krzyczeć, w jego duszy rozpałała się wściekłość, a ciało ogarnęły nieprzyjemne dreszcze. Jego demon panikował, a kiedy on panikował, Harry całkowicie tracił kontrolę. Gwałtownie machnął ręką i zrzucił półmisek z owocami, antyk, który został po babci. Porcelanowe naczynie potłukło się w drobny mak, jednak jemu to nie pomogło. Wcale mu nie ulżyło. Wręcz przeciwnie, nakręcał się coraz bardziej. Wpadał w furję, krzycząc na głos jej imię. Uderzał w meble, w ściany, rozwalając to, co jeszcze pozostało.

Nie panował już nad sobą. Każda kolejna furia, w którą wpadał, była gorsza od poprzedniej; napędzana namiętnością, jaką już dostał, i pożądaniem, jakiego jeszcze nie zaspokoił.

– Harry? – nieśmiały, cichy głosik rozniósł się po całym pomieszczeniu.

Chłopak zamilkł. Czyżby to kolejne urojenie?

– Skarbie... – znów ten sam głos. Ale to wcale nie była jego wyobraźnia. Chude, blade ręce objęły jego napięte ciało. Ciepła, drżąca twarz wtuliła się niepewnie w jego plecy. – Spokojnie. Jestem tutaj – powtarzała dziewczyna, gładząc czule jego ramiona.

– Bree... – wydusił. Jego zachrypnięty do granic możliwości głos przeraził nieco blondynkę, ale wtuliła się w niego mocniej.

– Nigdzie się nie wybieram. Jestem tu cały czas. Nie zostawiłabym cię – powtarzała spokojnie, choć w środku drżała ze strachu. Odwrócił się gwałtownie, chwycił ją na ręce i przyciągnął do siebie, ściskając niezwykle mocno, jak odzyskany skarb. Nie panował nawet nad mocą swego uścisku.

– Harry... tracę oddech – szepnęła ledwo słyszalnie, otwierając szeroko usta i łapiąc zachłannie tlen.

## Rozdział 24

W czterech ścianach budowali swą definicję szaleństwa. Tonęli w nim, ucząc się nawzajem swojego opętania. Ale w największym wariactwie przychodzi taki moment, gdy trzeba w końcu powiedzieć „Stop”. Wszystko na pierwszy rzut oka wydaje się takie proste. Bo przecież wystarczy wyjść, zostawić za sobą demony i ruszyć przed siebie. Ale czy którekolwiek z nich zdobyłoby się na odwagę i zechciało uciec? Z ramion szaleństwa, złości, zazdrości? Zrezygnować z pięknej, zakazanej i niemającej racji bytu miłości?

Nie. Bo istnieją uzależnienia, z których nie można się wyleczyć. Obsesje, których nie można się pozbyć. Nie, kiedy jesteś masochistą lub wariatem. W takim przypadku pozostaje jedynie ostateczna droga. Ostateczny sposób uwolnienia się od niebezpiecznych pragnień.

Wszystko przestało mieć znaczenie. Wszystko traciło sens, gdy chłonęli swoje oddechy, kiedy czuli swoje ciepło, kiedy należeli do siebie. Gdy odczuwali słodką, niebezpieczną przynależność. Byli dla siebie heroiną, nurzali się w psychodelicznej tęsknocie. Uzależniali się od siebie z każdym pocałunkiem. Bardzo powoli zamykali się we własnym świecie. Stawali się ślepi i głusi na to, co na zewnątrz. Bo przecież inni chcieli ich rozdzielić. Chowali się w swoich dotykach, skrywali złość, dawali się ponieść najnamiętniejszym uczuciom.

Kiedy Harry usłyszał jęk dziewczyny, puścił ją momentalnie i odsunął się na bezpieczną odległość, nerwowo przeczesując włosy. Emocje wciąż szalały w jego wnętrzu.

Może Bree nie dostrzegła zła w jego zmienności, ale dostrzegła smutek na napiętej twarzy. Westchnęła i podbiegła, znów przytulając się do niego.

– Harry, uspokój się. Proszę. Nic się przecież nie stało.

Wyprostował się gwałtownie i nie panując nad swą siłą, odepchnął Bree. Odbiła się od ściany z impetem i upadła na podłogę. On stał w miejscu, zaciskał pięści.

– Skarbie... – pisnęła dziewczyna, próbując się podnieść. Siła, z jaką uderzyła o płaską powierzchnię, sprawiła, iż na chwilę straciła czucie w rękach. – Dlaczego to zrobiłeś?

– Nie zbliżaj się do mnie! – krzyknął głośno. Jego głos rozniósł się po całym domu. Przyprawił ją o ciarki i strach przed jego siłą.

– Harry, opanuj się. Błagam. – Jej oddech przyśpieszył. Jej skronie pulsowały od tembru jego głosu. Podjęła kolejną próbę i zbliżyła się do młodego mężczyzny.

Odwrócił się gwałtownie i po raz kolejny, z niewyobrażalną siłą, odepchnął ją. Złapał się za włosy i wykrzyczał całe zło, jakie znajdowało się w jego duszy.

To, co działo się z Harrym, nie tylko ją przerażało, ale i martwiło. Jeszcze nigdy nie widziała ataku furii. Nie, Harry zdawał się nie do opanowania.

Spojrzał na nią czarnymi oczami, jego oddech był zdecydowanie zbyt szybki, a mięśnie zdecydowanie zbyt twarde. Otworzyła usta, chcąc powiedzieć coś więcej, ale nie dała rady. Musiała odejść teraz jak najdalej od niego, nie chcąc jednocześnie zostawić go samego. Nagle Harry znalazł się tuż obok. Czuła bijące od niego ciepło i zapach perfum wymieszany z potem. Czuła jego szybki oddech i nieopisaną złość, jaka gnieździła się w jego sercu. Uderzył z całej siły pięścią w ścianę tuż obok jej głowy, po czym odwrócił się gwałtownie, bez słowa, i skierował do łazienki, trzaskając drzwiami, które niemalże wypadły z futryny.

Odgłos rozbijanego szkła i upadku czegoś ciężkiego wyrwał Bree z transu. Odetchnęła kilkakrotnie i pobiegła do łazienki. Zapukała nieśmiało w drzwi, ale nie było żadnego odzewu. Ponowiła próbę. Znow to samo. W odpowiedzi usłyszała jedynie żalostny syk bólu. Jej serce skurczyło się, a ciało zadrżało.

Naparła na kłamkę, wchodząc gwałtownie do środka. To, co zobaczyła, zmroziło jej krew w żyłach. Otworzyła usta, ale nie potrafiła nic powiedzieć. Momentalnie znalazła się na kolanach, tuż obok Harry'ego.

– Co ty zrobiłeś... – szepnęła, z trudem wyjmując z jego zakrwawionej dłoni kawałek szkła, i odrzuciła go.

Drżał, nie wydając z siebie żadnego dźwięku, choć poruszał nerwowo ustami. Zakrwawioną ręką dotykał swej twarzy. Syczał z bólu, zaciskając powieki. Na brzuchu i rękach miał świeże blizny.

– Zostaw mnie – rzucił przez zęby. – Nie potrzebuję cię!

Choć ostatnie zdanie przebiło jej serce, pokręciła przecząco głową. Przycisnęła jego twarz do swych piersi, przytulając go szczerzej.

– Nie krzywdź się, Harry. To nie ma sensu – szeptała, głaszcząc jego spocone, zmierzwiłone włosy.

– Nie. – Odepchnął jej dłonie i przeszył ją zamglonym wzrokiem. – Powiedziałem, żebyś się stąd wynosiła. To wszystko twoja wina.

Jego zachowanie przekonywało ją jeszcze bardziej, że powinna zostać. Bo nie zostawia się swej miłości w potrzebie. Lubiła i miała odwagę właśnie tak go nazywać. Nie potrafiła i nie chciała inaczej.

– Nigdy cię nie zostawię. Nigdy.

Kolejna fala bólu przeszła jego ciało. Zadrżał, nie panując nad mocą i objął gwałtownie dziewczynę, wtulając twarz w jej piersi. Oddychał wciąż zbyt szybko, ale jego oczy powoli nabierały pierwotnego koloru.

– Nie opuszczaj mnie. Potrzebuję cię. Nie zostawiaj mnie tutaj samego – szeptał żalostnym, przerażonym głosem. Tulił jej filigranowe ciało, jak mały stęskniony chłopiec tuli się do matki. – Tak bardzo się boję. Potrzebuję cię.

– Nie opuszczę cię, skarbie. Nigdy. Będę już zawsze. Spokojnie – powtarzała



niezwykle opanowanym i przepelnionym uczuciem głosem. Głaskała jego twarz, jego włosy, co chwilę składając na nich delikatny pocałunek. Trzymała w ramionach drżące ciało młodego mężczyzny, który od zawsze kojarzył się jej z niewyobrażalną siłą.

– Nie potrafię bez ciebie oddychać. Jesteś wszystkim. Potrzebuję cię – mówił coraz ciszej.

Ciszę przerywały ich spokojne oddechy, a delikatny dotyk drżących dłoni koił nerwy. Żadnych słów, żadnej złości, żadnego zbędnego świata zewnętrznego.

Odczuwał rosnące pragnienie czegoś więcej. Posiadania wszystkiego, czego był godzien. Zachłannie pragnął chwycić garściami każdy jej oddech. Chciał czuć słodki zapach jej aksamitnej skóry, jej czułe pocałunki i nieme zapewnienia o dotrzymaniu obietnicy.

Przesuwał koniuszek palca po jej rozgrzanych policzkach, po skroniach i powiekach, po nosie, brodzie. Jak gdyby chciał nauczyć się na pamięć jej rysów, chcąc namalować obraz jej piękna w swej głowie. Tak na wszelki wypadek. Musnął opuszkami jej rozchylone wargi, a ona zadrżała. Jak za każdym razem, gdy ciepło jego skóry pieściło jej ciało.

– Czuję, że urodziłem się, by kochać właśnie ciebie. Tylko ciebie – szeptał jej do ucha, bawiąc się pojedynczymi kosmykami jej włosów, całując je i zaciągając się ich zapachem.

Przysuwał nos do jej szyi, muskał nim skórę i pochłaniał jej woń. Zachłannie, obsesyjnie. Karmił się, jednocześnie nie potrzebując żadnego intymniejszego zbliżenia. Bo dla niego najbardziej intymne było właśnie to wszystko, co robił. Dokładne dotykanie, wciąganie zapachu, pocałunki, wytyczanie wilgotnych śladów językiem.

Przyjemny spokój panował przed burzą, która miała rozpętać się kilkanaście minut później jako kolejny krok w stronę końca, ku katastrofie i zatrważającemu przestępstwu.

Ciche, przepelnione czułością szepty przerwał im irytujący dźwięk dzwonka do drzwi. Harry podniósł się niechętnie z podłogi i ruszył do przedpokoju. Bree wstała energicznie i podbiegła do okna, by zza ciemnych zasłon dojrzeć swoich rodziców. Odskoczyła momentalnie od okna, a jej oddech przyśpieszył.

– Harry – pisnęła, bawiąc się nerwowo palcami. Nie musiała dodawać nic więcej.

– Idź na górę – rzucił krótko i stanowczo.

– Co? – spojrzała na młodego mężczyznę wielkimi oczami.

– Idź na górę i nie schodź, póki cię nie zawołam – dodał ze zniecierpliwieniem, a ton jego głosu był zdecydowanie za niski.

Kiwnęła grzecznie głową i wbiegła na schody.

Harry powoli otworzył drzwi. Tuż przed nim stało małżeństwo w średnim wieku: nerwowa kobieta, którą dane mu było już poznać, i mężczyzna, którego twarz z każdą sekundą czerwieniała się coraz bardziej.

– Gdzie moja córka?! – krzyknął starszy mężczyzna.

– To mało kulturalne podnosić głos na nieznajomego – rzucił z drwiną chłopak, lustrując coraz bardziej zdenerwowanego ojca Bree.

– Nie pyskuj, gówniarzu, tylko oddaj nam naszą córkę!

Mężczyzna powoli tracił panowanie nad sobą. Zdecydowanie górował nad zielonookim, ale on wcale się nie bał. Przecież nie odczuwał nigdy żadnego lęku. Żadnego prócz tego przed utratą swojej róży.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi. Jeśli to wszystko, to żegnam – odpowiedział i chciał zamknąć drzwi.

– Nie! – Ojciec Bree popchnął Harry’ego z dużą siłą. – Ty pieprzony psycholu, oddaj nam córkę! Wiemy, że tu jest!

– Nikogo panu nie zabrałem. Proszę się uspokoić. – Chłopak mówił powoli, tak jak miał to w zwyczaju. Swoim tonem coraz bardziej irytował zdezorientowanych rodziców blondynki.

– Bree, kochanie! Proszę, wróć do nas! – Żałosny głos kobiety rozległ się wokół.

– Albo oddasz mi moją córkę, albo przysięgam, zabiję cię własnymi rękoma.

Mężczyzna chwycił Harry’ego za fraki i prawie uniósł nad ziemię. Chłopak roześmiał się prosto w jego twarz. Koniuszkiem języka przesunął po swoich wargach. Jego oczy pociemniały.

– Żałuję, ale nie mogę pomóc. Trzeba było lepiej pilnować swojego dziecka albo w ogóle nie brać się za zapładnianie – odpowiedział zachrypniętym głosem, nie odrywając wzroku od mężczyzny.

– Ty pyskaty...

– Thomas. – Jasnowłosa kobieta chwyciła dłoń męża w ostatniej chwili. – Nie rób tego. Nie warto. Znajdziemy inny sposób. Policja na pewno pomoże – dodała nieco pewniej, zerkając na Harry’ego.

– Na pewno – rzucił chłopak z drwiną, uwalniając się z uścisku sąsiada. Poprawił koszulę i odsuwając się o krok, chwycił za klamkę.

– Zniszczę cię. Przysięgam. Zrobię wszystko, żeby odzyskać córkę. – Starszy mężczyzna spojrzał wrogo na chłopaka, grożąc mu palcem.

– Trzeba było myśleć o tym wcześniej. Znalazł się kochany tatuś. – Harry prychnął i zanim uzyskał odpowiedź, zatrzasnął drzwi przed nosami zdenerwowanych rodziców.

Wszedł na górę i uchylił delikatnie drzwi sypialni. Bree siedziała na podłodze, obejmując się ramionami. Pociągała nosem, a kosmyki włosów

przykleiły się do mokrych od łez policzków.

– Skarbie. – Pokręcił głową, podchodząc powoli do dziewczyny.

Spojrzała na niego zaczerwienionymi oczami. Klęknął na podłodze i chwycił jej drżące ciało w ramiona.

– Co teraz? – zawołała z rozpaczą, wtulając mokrą twarz w jego koszulę.

– Wszystko będzie dobrze. – Nie dawał po sobie poznać, że się boi, mimo że bał się okrutnie tego, iż jego własność już wkrótce zostanie mu odebrana.

– A jeśli nie? – uniosła gwałtownie głowę, pocierając wierzchem dłoni wilgotne policzki. – Nie chcę cię stracić. – dodała ledwo słyszalnie, przygryzając wargę.

– Nie stracisz mnie, maleńka. Ani ja nie stracę ciebie. – przyciągnął Bree bliżej. Oplótł długimi rękoma jej ciało, ułożył swe czoło na jej czole i złapał w dłonie jej rozgrzaną twarz. – Nigdy na to nie pozwolę. Rozumiesz? Nigdy – zapewnił, po czym złożył na jej ustach najczulszy pocałunek, przepełniony obietnicą, lecz niosący jedynie śmierć.

## Rozdział 25

Nic nie było w stanie przeszkodzić ich chorej miłości. Nic nie mogło wtargnąć do ich świata, bo odpływając w swych ramionach, stawali się silniejsi. Razem, łącząc swe demony, budowali iluzję, której żaden człowiek nie mógł im odebrać.

Im więcej mu dawała, tym więcej pragnął. Im dłużej całowała jego skórę, tym zachłanniej pragnął więcej. Chciał poczuć ból wbijanych w jego ciało zębów, ból jej namiętności.

W izolacji od świata z każdym tygodniem Bree zakochiwała się w nim bardziej. On stawał się coraz mroczniejszy, chociaż wciąż jeszcze starał się panować nad swym zachowaniem. Bo chciał posiadać ją całkowicie, choć nie wiedział jeszcze, jak. Mogłoby się wydawać, że posiadał już wszystko. Jej umysł, jej serce, jej ciało. Ale demon wciąż wołał o więcej. I dlatego każda chwila, choć z pozoru piękna, stawała się coraz bardziej niebezpieczna.

\*

To był naprawdę cudowny ranek. Obudziły ją śpiewy ptaków i promienie słońca wpadające do sypialni przez uchylone okno. Przeciągnęła się delikatnie i zerknęła w bok. Harry wciąż jeszcze słodko spał. Uśmiechnęła się pod nosem i wargami musnęła jego rozgrzany policzek. Uwielbiała spoglądać na niego, kiedy był pogrążony we śnie, na jego niewinne rysy i ten spokój na jego twarzy. Miała nadzieję, że choć w snach zielonooki chłopak odczuwa spokój.

Wysunęła powoli stopy spod kołdry i ruszyła do łazienki, by wziąć prysznic. Później narzuciła na siebie jego czarną koszulę, przesiąkniętą zapachem jego perfum i skóry. Zaciągnęła się nim i zmrużyła oczy z przyjemności, czując niezwykle bezpieczeństwo. Po cichutku zeszła na dół.

Kolejny koszmar senny obudził Harry'ego gwałtownie. Chłopak podniósł się do pozycji siedzącej, próbując uspokoić oddech, i potarł ciężko twarz. Nie lubił budzić się, gdy jej nie było obok. Czuł w sobie pewną pustkę, niespełnienie. Część jego umysłu wciąż powtarzała, że Bree wcale nie uciekła. Że obudziła się wcześniej i zajęła czymś. Jednak druga, ta głośniejsza część, natarczywie wmawiała mu, że znów ją stracił.

Wyszedł z łóżka i powoli ruszył na dół. Z napiętymi mięśniami, milionem złych słów powtarzanych przez demony w jego głowie, z drżącymi wargami. Toczyła się w nim nierówna walka logiki i zdrowego rozsądku ze złem. Odetchnął głęboko. Czuł zmęczenie bitwą, jaka rozgrywała się w jego głowie.

Gdyby tylko potrafił, pozwoliłby łzom na spływanie po policzkach, ale od dawna nie był w stanie płakać. Jego serce stawało się zamrożonym kawałkiem mięsa, jego dusza utonąła w ciemności. Jak zatem mógłby płakać tak po prostu?

Z nadmiaru emocji, nie z bezsilności?

Powoli kroczył ciemnym korytarzem w stronę kuchni, słysząc cichy śpiew Bree. Słodkie pomrukiwanie, które przekonywało jego ciemniejszą stronę, że wszystko jest tak, jak być powinno. Nic jednak nie usuwało z jego głowy gonitwy myśli, mrocznych obrazów, dezorientacji. Najstraszniejszy był fakt, że to, co kiedyś dawało mu ukojenie, teraz kompletnie nie działało.

Stał w drzwiach kuchni, opierając drżącą dłoń o framugę. Nie zauważyła go, krzątała się po całym pomieszczeniu, mierzwiąc co chwilę włosy, nucąc pod nosem, przygotowując śniadanie. Wyglądała niezwykle zjawiskowo w jego czarnej koszuli niedbale zarzuconej na ciało. Koniuszkiem języka przejechał po dolnej wardze. Napiął mięśnie, a kosmyk jego włosów opadł na ciemniejące oczy.

I nagle przerażający strach i niewytłumaczalny smutek ogarnęły Harry'ego. Cofnął się i schował za ścianą. Zaciśnął palce, a jego oddech znów przyśpieszył. Walczył. Walczył o lepszą wersję siebie z diabłem, który znów chciał objąć go we władanie.

Oparł czoło o zimną ścianę i bezgłośnie powtarzał do siebie coś zupełnie niezrozumiałego. Napinał mięśnie, zaciskał szczękę. Nieprzyjemne dreszcze ogarnęły jego ciało, gdy wydał z siebie zduszony jęk, uderzając mocno, ale cicho pięścią w ścianę.

Kolejny i mocniejszy, niewytłumaczalnie wyraźny atak psychotyzmu. Harry bardzo powoli tracił siły na walkę, na stwarzanie pozorów. Tracił wszystko, na czym najbardziej mu zależało. Całe dobro, jakie chciał w sobie zachować, ulatywało wraz z coraz donośniejszym głosem w jego głowie.

– Dam radę. Dam radę – powtarzał zduszonym głosem, wbijając paznokcie w dłonie. Walczył, ale słabł. Z każdą sekundą, z każdą milisekundą. Bo dostając wszystko, czego pragnął, tracił wszystko. Tracił siebie. W zachłanności demonów i mroczności myśli, które stawały się coraz wyraźniejsze. Widział obrazy, które przerażały swą realnością. Namawiały do najgorszego.

Delikatne krople deszczu stukały o szybę. Stał przy oknie i przyglądał się mokrym ulicom. Oddychał spokojnie, głęboko. Ułożył dłonie na drewnianym parapecie, zaciskając na nim palce, które wciąż drżały. Z niepokoju, z nienasycenia. Wsłuchiwał się w odgłosy deszczu, zaciągał się specyficzną wonią wpadającą przez uchylone okno.

Okropnie dziwne uczucie wypełniało jego duszę. Wyraźne, dręczące i nieznanne. Nie potrafił z nim walczyć. Nie wiedział, co ma robić. Czuł się zagubiony. Cholernie zagubiony w swej chorobie, która zaczynała go przerastać. Chciał krzyczeć, płakać. Chciał walić pięściami w ściany i wtulić się w jej piersi. Pragnął spokoju, ale i jej bliskości. Milion sprzeczności męczyło jego głowę.

– Harry... – nieśmiałe pukanie przywołało go z powrotem na ziemię. –

Wszystko w porządku? – Jej cichy głosik przyprawił go o jeszcze mocniejsze drżenie dłoni.

– Tak.

– Chodź do kuchni. Śniadanie już czeka.

Zaraz potem usłyszał cichutkie stukanie stóp o panele.

Wyprostował się powoli i nabrał powietrza. Potarł dłońmi twarz i przeczesał włosy. Pociągnął za nie mocno, by przywołać się do porządku. Skoro nic już nie dawało ukojenia, może chociaż ból mógł przynieść mu chwilę spokoju.

\*

Odetchnęła z ulgą, kiedy Harry w końcu zasnął. Od samego rana wydawał się niezwykle zmęczony i napięty. Na szczęście udało jej się namówić go na krótką drzemkę. Ponieważ nie potrafił już zasnąć bez niej, położyła się na wielkim łóżku, przysunęła jego głowę do swych piersi i głaszcząc długie włosy chłopaka, szeptała mu na ucho piękne, choć tak banalne słowa. Wtulał w nią twarz, muskał wilgotnymi ustami jej skórę i próbował uspokoić oddech. Drżał i walczył ze złymi myślami. Ale w jakiś sposób wcale mu to nie przeszkadzało. Nie, kiedy czuł jej dotyk. Nagle jedna myśl zmaciła ten pozorny spokój. Harry poczuł niewytłumaczalny strach, a na jego ciele pojawiła się gęsia skórka. Przytulił Bree mocniej.

– Boję się – szepnął ledwo słyszalnie, zaciskając powieki.

– Czego, skarbie? – rzuciła równie cicho, muskając ciepłą dłonią jego policzek.

– Nie wiem... – mówiąc to, wbijał palce w jej plecy.

– Nie bój się. Jestem przy tobie. Nie pozwolę cię skrzywdzić.

Całowała rozgrzanymi wargami jego drżące czoło, głaskała jego rozczochrane włosy. Przytulała go tak mocno, jakby był przerażonym dzieckiem. Jego mięśnie rozluźniały się z każdym gorącym pocałunkiem, oddychał spokojniej, pozwalał sobie na odpłynięcie. Wtulając nos pomiędzy jej piersi, rozluźniając uścisk na jej biodrach.

Kiedy on spał, ona postanowiła posprzątać. Musiała zająć czymś myśli, które tego dnia podpowiadały jej wyjątkowo dziwne rzeczy. Czowała w sobie niepohamowany niepokój i sama nie potrafiła go wytłumaczyć. Przecież miała wszystko, czego tak naprawdę potrzebowała. Miała miłość i miała opiekę. Miała osobę, na której jej zależało i która się o nią troszczyła. Mężczyznę, który z każdym atakiem wydawał jej się coraz bardziej bezsilny. Musiała mu pomóc, chciała mu pomóc. Przecież nic nie mogło przeszkodzić ich miłości.

Wysprzątała chyba każdy kąt w jego domu. Na samym końcu zorientowała się, że jest jeszcze coś, o czym zupełnie zapomniała, a przecież była tak ciekawa wszystkich jego tajemnic. Niepozorne drzwi w kolorze ścian, tuż pod schodami.

Przechyliła lekko głowę, zwilżając wargę, i powoli skierowała się w ich stronę. Harry nigdy o nich nie mówił. Spędziła u niego tyle tygodni, całkowicie nieświadoma tego, co kryje się za ich płaską powierzchnią.

Rozejrzała się bezwiednie i wolnym krokiem podeszła do schodów. Nacisnęła na srebrną klamkę i wsunęła stopy do ciemnego pokoju. Jej oczy zaatakowało czerwone, przyciemnione światło. Znalazła się w jego ciemni. Małym sekrecie, o którym nigdy jej nie wspominał.

Zostawiła uchylone drzwi i przeszła powoli po całym pomieszczeniu. Rozglądała się, a jej serce biło coraz szybciej. Wszędzie tylko i wyłącznie jej zdjęcia. Na sznurkach, na ścianach, na szafkach. Obrazy każdej części jej ciała, sfotografowane z niezwykłą dbałością. Misternie porozwieszane fotografie. Kilka zdjęć ukazujących tę samą minę.

Dopiero wtedy, w tym małym ciemnym pokoju, uświadomiła sobie jego obsesję. Poczula lęk i dezorientację. To przecież nie tak miało wyglądać. Chwyciła jedno ze zdjęć i wpatrywała się tępo, dopuszczając powoli do świadomości wszystko, co ukrywał przed nią chłopak.

– Nie powinno cię tu być. – Niski, zachrypnięty głos rozniósł się po całym pomieszczeniu.

Przestraszona Bree upuściła fotografię i odskoczyła do tyłu, odwracając się gwałtownie. Harry stał oparty o framugę. Skrzyżował ręce na torsie i powoli kręcił głowę, zwilżając koniuszkiem języka dolną wargę. Nie odrywał od niej świdrującego wzroku.

– Co to jest? – pisnęła w odpowiedzi.

– Zdjęcia. – Wzruszył ramionami, nie zmieniając wyrazu twarzy.

– Przecież wiem. Co to wszystko ma znaczyć? – dodała ze strachem, choć z całych sił starała się, by jej głos zabrzmiał pewnie.

– Dlaczego tu jesteś? – odepchnął się od ściany i powoli kierował w stronę Bree.

– Odpowiedz, Harry – szepnęła, prostując się gwałtownie.

– Nie szanujesz mojej prywatności. To bardzo niekulturalne – mówił coraz niższym głosem, nakręcając się. – Nie powinno cię to interesować. Nie powinnaś wtykać nosa w nie swoje sprawy.

– Nie moje sprawy?! Przecież wszędzie jestem tylko ja! Harry, to chore – podniosła głos, oddychając szybciej.

– Nasza mała dziewczynka chyba się zapomniała – rzucił z drwiną, kręcąc głową. – Musimy ją ukarać – powtarzał coraz ciszej, pochłonięty zupełnie przez swój wewnętrzny świat.

– Jacy my? – dziewczyna zadrżała i cofnęła się o krok. Nie odrywała od chłopaka przerażonego wzroku. – O czym ty mówisz? Proszę, nie rób nic głupiego – szeptała błagalnie, cofając się z każdym jego krokiem. Wpadła na ścianę

i rozejrzała się nerwowo. W odpowiedzi usłyszała jedynie niski śmiech chłopaka. Zbliżył się do niej gwałtownie, przypierając ciałem do ściany, i chwycił za jej gardło.

– Twoja ciekawość cię kiedyś zgubi, kwiatuszku – szepnął na jej ucho przerażająco zachrypniętym głosem. Żadne z nich nie przypuszczało, jak szybko spełnią się jego słowa.

– Puść mnie. To boli. Proszę!

Swoją bezsilnością i przerażeniem nakręcała jego demony coraz bardziej. Harry zwilżył wargi, lustrując dokładnie jej twarz, po czym złapał za jej nadgarstek i mocno pociągnął za sobą. Kopnięciem otworzył drzwi sypialni i gwałtownie rzucił dziewczynę na łóżko. Wykorzystując chwilową wolność, uciekła na jego drugi koniec. Przyglądała się młodemu mężczyźnie z coraz większym przerażeniem. Miał swoje ataki, ale jeszcze nigdy nie zachowywał się w ten sposób.

Stawiał wolne, ale duże kroki. Z każdym kolejnym rozpinął następny guzik koszuli. Nie odrywał rozbieganego wzroku od blondynki, której ciało drżało coraz bardziej. Kiedy zbliżył się do łóżka, przyciągnął Bree za nogi, nieco zbyt gwałtownie. Pisnęła z bólu zaciskanych na jej kostkach palców chłopaka.

– Harry... ja nie chcę – zawołała, kręcąc w panice głową, kiedy przejechał paznokciami po jej udach.

– Nasz mały kwiatuszek był bardzo niegrzeczny – powtarzał cicho, będąc już całkowicie w swoim mrocznym świecie.

– Kochanie, wróć do mnie. Proszę. – Bree na wszystkie sposoby próbowała odzyskać Harry'ego. Tego, w którym się zakochała. Bo człowiek, który dotykał zachłannie jej ciała, był zupełnie obcym mężczyzną.

Rozerwał gwałtownie jej bluzkę i napał na jej drżące ciało. Nie panował już nad niczym. Nie potrafił. Kontrolę nad jego umysłem przejął demon, który wcale nie chciał odpuścić. Choć umysł chłopaka wciąż próbował walczyć, Harry nie był w stanie wygrać tej nierównej walki.

– Kocham cię. Harry, kocham cię – szeptała dziewczyna zrezygnowanym głosem. Choć jej drżący ton ujawniał, jak bardzo się boi, była pewna swoich słów. Bo nawet takie zachowanie chłopaka nie zniechęcało jej. Pogłębiało w niej uczucie i troskę. – Uspokój się – powtarzała nieco pewniej, muskając napiętą, rozgrzaną twarz chłopaka.

I nagle jego demon rozplynął się. Harry zamrugał kilkakrotnie i spojrzał na przerażoną blondynkę. Zacisnął zęby i wtulił się gwałtownie w jej ciało.

Wszystko, co działo się potem, było odzwierciedleniem opadających emocji. Adrenalina wypełniła dwa organizmy. Dwa drżące ciała połączyły się w namiętym miłosnym tańcu. Bo ona przestała się go bać. Przestała, kiedy dojrzała na nowo zieleń jego oczu. Zieleń, która powróciła jedynie na kilka chwil.



Bo gdy tylko poczuł jej ciepło i pulsujące mięśnie – demon powrócił. Ten najstraszniejszy, najzachłanniejszy.

Oczy Harry'ego znów pociemniały, ale Bree wcale tego nie zauważała. Przesuwała paznokciami po jego nagich, spoconych plecach. Zrównywała swój oddech i bicie serca z jego. A on? On odpływał nieodwracalnie w mroczny świat, poddawał się swojej psychozie. Przesuwał panować nad ruchami, kiedy dostawał więcej. Chciał jeszcze. Chciał bardziej. Chciał boleśniej.

Nakręcany jej szeptami, delikatnością jej skóry, zębami wbijanymi w jego ciało, zroszonymi potem piersiami blondynki, ułożył dłoń na jej gardle. Z początku muskał palcami jej skórę i spoglądał w spragnione, niebieskie oczy. Jeden moment, jeden gwałtowniejszy ruch, gęsia skórka, jej głośniejszy jęk – i ciemność ogarnęła jego duszę. Zacisnął palce na jej gardle. Nie kontrolował siły swego uścisku. Nie kontrolował już niczego.

– Harry, tracę oddech... – szepnęła ledwo słyszalnie, wbijając paznokcie w jego nadgarstek.

## Rozdział 26

Siedziała w kuchni i spoglądała tępo na płaską powierzchnię kremowej ściany. Myślami powracała do dni, gdy jeszcze była beztroskim dzieckiem. Jak przez mgłę pamiętała czasy, gdy nie przeszkadzała jej praca rodziców. Nie rozumiała, dlaczego tak rzadko z nią przebywali, dlaczego większość swojego życia spędziła z opiekunkami, z obcymi osobami, które za spore pieniądze starały się ukształtować jej osobowość, wyręczając tym samym rodziców. Za każdym razem, gdy czuła się samotna lub rozżalona, dostawała dziesiątki mniejszych lub większych paczek z prezentami, a na jej twarz powracał uśmiech. Łatwo jest zadowolić małe dziecko. Ale tylko do czasu. Bo to przecież też człowiek, który potrzebuje uczucia. Bezcennej, rodzicielskiej miłości.

Bree – nierzucająca się w oczy szczupła blondynka z niebieskimi oczami większymi od monet – była niegdyś całkiem szczęśliwą, bezproblemową dziewczyną. Nastolatka jak każda. Ze swoimi szkolnymi kłopotami, miłościami, uniesieniami i smutkami. Przyzwyczajona do braku rodziców, nieswojo czuła się w ich towarzystwie. Może dlatego ciągnęło ją do ludzi obcych, którym zazwyczaj dobrze patrzyło z oczu. Nic nie wskazywało na jakiegokolwiek większe zmiany w życiu tej nastoletniej dziewczyny.

Ale nadszedł nowy rok szkolny po ostatnich wspaniałych, beztroskich wakacjach. Semestr, w którym po raz pierwszy udała się do liceum. Jak się okazało, znalazła się w świecie zupełnie innym niż ten, do którego była przyzwyczajona. Wszystko nagle zaczęło ją przytłaczać. I wcale nie chodziło o ilość nauki ani wielkie korytarze prywatnej, choć wypełnionej bogatymi uczniami szkoły. To nie nowe informacje, wymagający nauczyciele czy więcej stresu pociągnęły Bree na samo dno.

Każda z jej nowych koleżanek była perfekcyjna, ale wciąż dążyły do chorych ideałów, które podsuwał im zdradziecki umysł. Nawet w powietrzu czuć było rywalizację. Atmosfera była ciężka od kultu piękna oraz znakomitości. Bree broniła się co sił, ale i ona przegrała tę walkę. Bo ile można wysłuchiwać o perfekcyjnych kształtach, dietach, ćwiczeniach i chłopakach, którzy chcą tylko te, które się głodzą. Choć to nigdy nie było prawdą, nowe „przyjaciółki” były tak przekonujące. Ugięła się pod presją. Dołączyła do wyścigu szczurów. Wyścigu donikąd. Jedna głupia szkoła, kilkoro znajomych i Bree zmieniła się nie do poznania. Straciła ostatki radości z samej siebie i świata. To okrutnie smutne, gdy nasze otoczenie zmienia prawdziwe „ja” i człowiek usilnie pragnie być idealny, zmienić się w kogoś innego.

Kiedy wszelkie diety nie przynosiły pożądaných skutków, kiedy żadne ćwiczenia nie zadawały, Bree sięgnęła po ostateczne środki. Zbyt wiele reklam widziała w swoim życiu, zbyt wiele kolorowych gazet przeczytała, by nie dać się

przekonać. Odkąd w jej życiu pojawiły się tabletki odchudzające, a jej ciało zaczynało przypominać bardziej kościotrupa aniżeli zdrową nastolatkę, coś złego stało się w jej sercu i głowie. Nie zważając na coraz gorsze samopoczucie, zaczęła brać więcej. Chciała być lepsza, piękniejsza, bardziej wartościowa.

\*

Siedząc na łóżku i przesuując pomiędzy długimi palcami przyjemny materiał koca, rozmyślał intensywnie o czasach swego dzieciństwa. Starał się przypomnieć sobie każdy szczegół, każdą okazaną mu czułość. Już dawno przestał zastanawiać się, dlaczego właściwie jest taki, jaki jest. Nigdy nie znajdował satysfakcjonującej go odpowiedzi, dlatego szybko przestał analizować swoją przeszłość. Ale tego dnia, gdy spoglądał w okno i podziwiał duże krople deszczu wolno spływające po szybie, po raz kolejny przywołał w pamięci obrazy radosnych czasów małego Harry'ego.

Zawsze był inny, wyjątkowy, nieśmiały i szukający bliskości oraz przyjaźni. Z każdą kolejną klasą i po kolejnych odrzuceniach ze strony rówieśników mały Harry powoli się zmieniał. Stawał się bardziej wycofany, zaczął stronić od ludzi, a jednocześnie był zdumiony pięknem natury i zafascynowany kwiatami. Wszystkie przerwy spędzał w odosobnieniu, czytając coraz to grubsze książki i encyklopedie.

Nie przejmował się zdaniem innych dzieci, bo zazwyczaj nie słyszał tego, co o nim mówią. Miał swój własny świat. Nikomu nie zawadzał. Ale przyszedł czas, gdy Harry zmienił się w dojrzałego nastolatka, którego wciąż nie interesowało nic prócz roślin. Kiedy poszedł do liceum i nie okazywał żadnego zainteresowania dziewczynom, które wzdychały na jego widok, koledzy uznali go za dziwaka.

Pewnego wiosennego dnia, podczas długiej przerwy, siedział na boisku szkolnym, czytając arcyciekawą książkę. Nie przeszkadzały mu krzyki, przekleństwa ani promienie ogrzewające jego twarz. W pewnym momencie prażące słońce zasłoniła grupka dryblasów. Uniósł wzrok i spojrzał na czterech znanych mu z widzenia chłopaków. Nie odezwał się, ale jego mina wyrażała co najmniej zdziwienie.

W stronę Harry'ego poleciało mnóstwo drwiących i obraźliwych słów. Nie to zdenerwowało chłopaka, bo należał do bardzo potulnych. Dopiero kiedy jego ulubiona książka została mu odebrana i zdeptana z niezwykłą nienawiścią, w Harrym obudziło się coś, o czego istnieniu nie miał pojęcia. Jego mięśnie napięły się do granic możliwości, ciało pokryła gęsia skórka. Na jego twarzy pojawił się grymas wściekłości. Podniósł się gwałtownie i z całej siły odepchnął jednego z rówieśników. Gdy schylił się po swą własność, został powalony na ostry beton i uderzony w brzuch. Czwórka chłopaków spojrzała na niego z pogardą i w akompaniamencie drwiących śmiechów skierowali się w stronę drzwi

wejściowych szkoły.

Ale niedane im było odejść bezkarnie. Bo w Harry'ego wstąpił jakiś tajemniczy diabeł, niepojęta wściekłość i chęć wyzycia się na oprawcach. Wystarczyło kilka chwil, by czwórka młodych chłopców została powalona przez jednego wysokiego, choć, jak wszystkim zawsze się wydawało, bezbronnego człowieka. Harry bił na oślep, szeptał coś niezrozumiałego przez zaciśnięte zęby i tracił nad sobą kontrolę.

Kiedy w końcu udało się go odciągnąć, oddychał głęboko i szybko, spoglądając na czwórkę przerażonych chłopaków spod mokrych od potu włosów.

– Jesteś popieprzony! Świr! – rzucił jeden z oprawców Harry'ego. Uśmiechnął się z kpiną i z resztą swych dumnych, choć poobijanych przyjaciół opuścił boisko.

A biedny mały Harry przekonał się tego dnia, że nie jest tak słaby i tak bezbranny. I że nigdy nie był i nie zostanie całkiem sam. Bo w ciągu tego mrozącego krew w żyłach wydarzenia słyszał w głowie o wiele głośniejsze i wyraźniejsze głosy.

## Epilog

„Follies Village News”

*Przerazająca wiadomość dotarła do naszej redakcji. Po kilkurazowej interwencji i długich poszukiwaniach nareszcie udało się odnaleźć zaginioną dziewczynę.*

*Bree Anderson, niespełna osiemnastoletnia licealistka, została znaleziona w pobliżu swego domu. Jej ciało zakopane było w ogrodzie młodego sąsiada, który prawdopodobnie, by zatrzeć ślady, posadził w tym miejscu krzak białych róż.*

*Z opinii innych mieszkańców osiedla wynika, iż młody chłopak od zawsze był nietypowym, zamkniętym w sobie człowiekiem. Żaden z sąsiadów jednak nie spodziewał się najgorszego. Według zeznań rodziców rozkochał w sobie Bree i wykorzystując jej naiwność, dokonał tej okrutnej zbrodni. Ciało dziewczyny pokryte było mnóstwem śladów po ugryzieniach i podduszaniu, co okazało się ostateczną przyczyną jej śmierci.*

*Harry Sore, dwudziestopięcioletni sprawca, nie stawiał oporu przy zatrzymaniu. Nie odezwał się ani słowem, gdy policjanci wyprowadzali go z domu. Nie reagował na lament rodziców dziewczyny i reszty sąsiadów. Stwarzał wrażenie człowieka pozostającego we własnym świecie. Jego spojrzenie wciąż wracało w miejsce własnoręcznego pochówku dziewczyny.*

*Po gruntownym przesłuchaniu stwierdzono u chłopaka poważne problemy psychiczne. Właśnie dlatego został skierowany do szpitala psychiatrycznego, na oddział o zaostrzonym rygorze. Przez bardzo długi czas nie dochodziło do niego, co tak właściwie dzieje się wokół. Dopiero gdy trafił do szpitala, otrzeźwiał. Zaczął się szarpać i krzyczeć coś niezrozumiałego. Ubrany w biały fartuch, ze związanymi za plecami rękoma, z ogromnym trudem został wprowadzony na salę, gdzie czekali na niego najlepsi specjaliści w towarzystwie policji.*

*Zanim jeszcze masywne drzwi oddziału psychiatrycznego zamknęły się za chłopakiem, który popadł w furję nie do opanowania, dosłyszeliśmy kilka słów. Błagań i nawoływań.*

*– Bree! Błagam, pomóż mi! Tak cholernie się boję! Bree! Gdzie jesteś?! Kocham cię! Boję się...*

*Słowa powtarzane na okrągło, przepiętne nieopisanym smutkiem i bezsilnością. Strach w jego oczach i nieświadomość tego, co go czeka, były przerażające. Każde napięcie twarzy oświeślały przeraźliwie jasne jarzeniówki.*

*– Skarbie, potrzebuję cię. Nie zostawiaj mnie. Gdzie jesteś? Nie pozwól im mnie skrzywdzić, Bree...*

Delikatne płatki białych róż pieściły jej blade ciało. Tracąc ostatni dech, spoglądała w jego mroczne oczy. I wybaczyła mu. Już w tamtym momencie. Bo nigdy tak naprawdę nie przestała go kochać.

Delikatne płatki białych róż opadły na podłogę, odkrywając nagie, chłodne ciało dziewczyny. Zbyt wiele zabiło tak niewiele.

*Nasze nigdy*

Wydanie pierwsze, ISBN: 978-83-8083-670-9

© Aleksandra Troszczyńska i Wydawnictwo Novae Res 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Barbara Kaszubowska

KOREKTA: Kinga Dolczewska, Małgorzata Szymańska

OKŁADKA: Paulina Radomska-Skierkowska

KONWERSJA DO EPUB/MOBI: InkPad.pl

WYDAWNICTWO NOVAE RES

al. Zwycięstwa 96/98, 81-451 Gdynia

tel.: 58 698 21 61, e-mail: sekretariat@novaeres.pl, <http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej [zacztyani.pl](http://zacztyani.pl).

Wydawnictwo Novae Res jest partnerem

Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego w Gdyni.



*Gdy stajesz się czyjąś obsesją,  
nie ma drogi ucieczki.*

Aleksandra Troszczyńska

*Nasze  
nigdy*

NOVAE RES